№ 44. Warszawa, dnia 30 (18) Października 1886 r. Rok VI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2 k. 50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ.

POLITYKA.

WOJNA I POKÓJ.

Z całego słownika politycznego dzienniki najczęściej dziś powtarzają i najchętniej deklinują wyraz: *wojna*. W ostatnich miesiącach wyraz ten napisano niezliczoną ilość razy — tkwił on we wszystkich wywodach, krytykach, groźbach, obawach i proroctwach, stał się podmiotem każdego niemal zdania, określającego najbliższy los Europy. O innych drogach wyjścia z obecnego stanu zwątpiono, bo każde państwo znajduje się względem innych w położeniu owego wodza starożytnego, który z wąwozu mógł się wydobyć tylko, pędząc przed sobą woły z płonącemi na ich głowach wiązkami chróstu. Widowisko to występuje i niknie od lat co najmniej dziesięciu i zawsze, w chwili gdy zdaje się, że już osaczony wódz spędza swoje woły, nagle wrzawa cichnie i zawieszenie broni przedłuża się dalej. I dziennikarze również ciągle przeżuwają i wypluwają ten wyraz, a chociaż dziś on im smakuje, jutro sprawia obrzydzenie. Przyskakują do niego i odskakują dyplomaci, politycy meetingowi i kawiarniani — każdy chwyta gorące żelazo i cofa rękę z sykiem, zanim je dotknął. Skąd ta pochopność i obawa?

Zrozumielibyśmy jedną i drugą, gdyby to były rozprawy członków Ligi pokoju i zwolenników Trybunału międzynarodowego, wogóle — marzycieli. Lecz i dyplomaci i przejęci ich duchem gazeciarze strzegą się sentymentalizmu i chłodno ważą korzyści realne, okupione krwią, która z ich żył nie płynie. Czemuż ci tak straszą świat wojną i tak sami się nią przerażają? Jeżeli ona ma być nieunikionem rozwiązaniem splątanych stosunków, czemu ją odwlekają?

W rachunkach wszelkiej wojny główną pozycyę zajmuje czynnik jej pierwszorzędny — armia. Przed epoką militaryzmu, kiedy siły państw nie były w tym kierunku wytężone i nowymi pomysłami wzmocnione, bez trudu je wymierzano. Dziś, kiedy wojska liczbą dosięgły cyfr bajecznych a środkami przewyższają najfantastyczniejsze rojenia lat dawnych, kiedy właściwie Europa ma po raz pierwszy wypróbować w ogniu swój nowy rynsztunek — potęga militarna każdego państwa jest zagadkową. Wprawdzie znamy cyfry pułków, ich organizacyę i tresurę, szybkość uruchomiania wojsk i oporność twierdz, ale wszystko to nie daje matematycznego dowodu przewagi tego lub owego mocarstwa nad innemi, gdyby nawet ono zdołało ograniczyć walkę do pojedynku i zapobiegło wrogim sojuszom. Wątpliwość ta zaś istnieje nietylko dla społeczeństw, ale także dla rządów i ludzi wtajemniczonych w pogotowia wojskowe. Czytaliśmy przecie wiele broszur i artykułów, w których specyaliści tłomaczyli nam prawdopodobieństwo przyszłego „teatru wojny," a chociaż znaleźliśmy tam mniej lub więcej ścisłe hipotezy, pewnej wróżby szukaliśmy daremnie. Jeżeli więc gra jest niebezpieczną, kto będzie stawiał na kartę? Ci, którzy niewiele mają do stracenia i ryzykiem chcą się ratować.

Pomijając wybuchy nieprzewidziane, w rękach pięciu państw europejskich spoczywa dziś pokój i wojna: Anglii, Francyi, Niemiec, Austryi i Rosyi. Otóż czy którekolwiek z nich czuje pragnienie wojny, zdolne stłumić obawę jej skutków?

Anglia nawet nie udaje. Zrobiwszy w każdej kłótni groźną minę, jak Kartagina obładowywa osła złotem, wysyła go, ażeby przełaził wysokie mury, i wyznaje szczerze, że „sama" z nikim bić się nie myśli. Na tę jej rezygnacyę, obok niemocy wojskowej, wpływają zyski ciągnione z pokoju. Uprzytomnijmy sobie wygodę życia tych, którzy tam sterują państwem, a dojdziemy do przekonania, że oni w grze wojennej żadnego interesu dla siebie nie widzą. Kto ma ryzykować swój byt — lordowie lub kupcy, opływający w dostatkach, ssący z obecnego stanu dobrodziejstwa pełnemi ustami? Tego nikt od nich wymagać nie może. Im jest dobrze, oni potrzebują tylko dbać, ażeby nie było znacznie gorzej, że zaś na dole pod ich stopami szumi i burzy się nędza, to ich nie wzrusza i do awantur w jej imieniu nie pobudza.

Pomimo wszystkich radykalizmów Francya jest dziś państwem zamożnego mieszczaństwa i obywatelstwa wiejskiego, państwem żywiołów posiadających i zadowolonych. Również i w jej łonie gotuje się lawa, ale ona ani o losach kraju nie stanowi, ani szerokiem łożyskiem po za jego granice wylać się nie pragnie. Sprawy zewnętrzne zależne są od przedstawicieli narodu, wymagać zaś od większości tych ludzi, którym własne i wyborców interesy przedewszystkiem leżą na sercu, wymagać od właścicieli ziemi, kopalń, winnic, fabryk, sklepów, którzy cały świat opanowali przemysłem i handlem, ażeby oni wszystkie korzyści rzucili w ogień wojny—jest niepodobieństwem. Francuz kocha Alzacyę i Lotaryngię, chętnie o niej śpiewa i deklamuje, gotów każdej chwili pogrozić pięścią w stronę Niemiec, ale jeszcze bardziej kocha swój interes i więcej dba o to, ażeby go znowu nie napadnięto, niż myśli o napaści.

Niemcy przestały już być państwem parlamentarnem, rządzi niemi cesarz i jego *major domus*, dwie zestrojone z sobą wole, z których żadna nie zamieni tego, co posiadła, na to, co w niepewnem przedsięwzięciu posiąść może. Cesarz Wilhelm jest starcem 90-letnim, władcą mocarstwa, siejącego postrach, rozstrzygającego wszelkie spory polityczne, panującego nad każdem

położeniem; jego kanclerz, twórca i wykonawca tej potęgi, stanął na szczycie, na którym już kończy się droga wywyższeń dla śmiertelników, z którego rozkazuje światu, ogłasza przykazania lub ciska pioruny; czy ci dwaj ludzie mogą zaryzykować swoje wszechwładne stanowiska w walce olbrzymiej, której wyników nikt przewidzieć nie zdoła? Ze wszystkich wyznań ks. Bismarka największą w nas wiarę budzi jego „meklerstwo;“ rzeczywiście zapobiega on starciom, łata naderwane stosunki, godzi zapaśników (naturalnie pobierając za pośrednictwo prowizyę), tłumi wybuchy — bo się lęka wojny, wszelkiego pożaru pod swojemi ścianami.

Austrya, jako jego lennica, jako „prowincya Niemiec,“ żyje w zbyt wielkiej zależności od swego pana, ażeby mogła samodzielnie rozpoczynać walkę niebezpieczną. Sypie groble i wały naokoło swych posiadłości, uzbraja się, drży i zapobiega nieszczęściu, ale o zaczepce nie myśli.

Pozostaje Rosya. Państwo to naturą i ustrojem przedstawia obraz całkiem odmienny. Nie jest ono — jak Francya lub Anglia — zbiorowiskiem żywiołów, karmiących się zyskami pokoju, siedzibą kapitalizmu, zamiłowanego i zainteresowanego w utrzymaniu stosunków istniejących; zawiera dużo pierwiastków ryzykownych, śmiałych, gotowych poświęcić rzeczywistość dla nadziei. Naród w przeważnej części łaknie zmian i przekształceń, bo nie ma tyle do stracenia, co dobrze opierzeni obywatele Zachodu. Naród ów jest przytem rządzony jedną wolą, nieograniczoną żadnymi parlamentami. Z tej więc strony najprędzej, bo najłatwiej paść mogą kostki, rozstrzygające o losach Europy. Według naszego też przekonania pokój i wojna ważą się nie na szalach postanowień Anglii, Francyi, Niemiec z Austryą, lecz Rosyi, od niej bowiem zależy dalsze utrzymanie lub złamanie stosunków obecnych. Nie lubimy wróżyć, ale polecamy pamięci czytelników przepowiednię naszą, że nie wybuchnie prędzej wielka wojna, aż ją wypowie Rosya i że dopóki ona będzie unikała zbrojnego starcia, żadne inne państwo go nie wywoła. Kto więc z jakichkolwiek powodów pragnie wojny, powinien przedewszystkiem obserwować barometr polityki rosyjskiej, a „chmurami“ zachodniemi bynajmniej się nie bałamucić. Po za temi chmurami bowiem jaśnieje tęcza pokoju, odbijająca pragnienia tych, którzy go wyzyskują, a światem rządzą.

POLITYKA CHLEBOWA.

A więc pomówmy o wielkiej polityce: o polityce chlebowej.

Wszystko, co się w oczach naszych dzieje, rozważając, zestawiając i porównywając, jasnem jest jak na dłoni, że polityka ta narzuca się, jako konieczna i racyonalna i że jest omijana, jako — utopia.

Rozpatrzmy się w tej utopii bliżej, biorąc miarę z Europy, obchodzącej nas bardziej, aniżeli inne części świata, dla tej prostej a naturalnej przyczyny, że jest ojczyzną naszą obszerniejszą. Rozwój dzisiejszy doprowadził społeczeństwo europejskie do tego, że polityka stała się przedmiotem zajęcia ogólnego. Obchodzi ona nie samych jeno mężów stanu, tkwiących w sferach wykonawczych i prawodawczych, ale wszystkich bez wyjątku, mianowicie zaś tego wyrobnika, co idąc spać wieczorem, nie wie, czy nazajutrz zarobi na chleba kawałek. Ten zainteresowany jest bezpośrednio; po nim idzie ten, co ma zapewnioną robotę na trzy dni; dalej ten, który przez tydzień cały będzie miał co na zęby włożyć. Po nich idą wyrobnicy miesięczni, od pór roku zależni, całoroczni, stali, fabryczni, rzemiosłowi, rolnicy; dalej majstrowie, fabrykanci, przedsiębiorcy, spekulanci; ci wreszcie szczęśliwcy, co używać życia mogą, o używaniu jeno myślą; dalej urzędnicy, dzierżący maszynę społeczną w karbach; w końcu mężowie stanu, od których decyzya i wykonanie zależy. Ci ostatni najmniej są zainteresowani, pomimo że od nich pochodzi w rzeczach politycznych wrzawa największa. Najmniej dla tego, że najmniej ich dotykają wstrząśnienia, spowodowane przez zwroty takie lub inne spraw politycznych. Weźmy za przykład wojnę francusko-pruską, wszczętą przez mężów stanu francuskich „z lekkiem sercem.“ Z wojny tej rezultat dla strony jednej był smutny, dla drugiej wesoły; smutek atoli i wesele tych, w których imieniu się ona odbywała, którzy jej firmę polityczną nadali, smutek Napoleona III i wesele Wilhelma I, zanalizowane dokładnie, tracą istotę smutku i wesela. Jeden z nich postradał, drugi uzyskał koronę, która ni ziębi, ni grzeje. Napoleonowi III — rzecz pewna — bardzo było przyjemnie na stanowisku, jakie do pogromu sedańskiego zajmował; spadł ze stanowiska tego — przykrości doznał, nic więcej, tylko przykrości, podczas kiedy z przeciwnikiem jego stało się odwrotnie: przykro mu było, gdy był królem tylko, spotkała go więc przyjemność. Jest także rzeczą niewątpliwą, że wielką, bardzo wielką była przykrość jednego i przyjemność drugiego; w istocie jednak rzeczy tak strata cesarza zdetronizowanego, jak zysk cesarza intronizowanego polegały na przywidzeniach. Napoleon III, w stosunku zwłaszcza do tego, czem był przed r. 1850, nie poniósł straty najmniejszej — owszem, wyszedł z grubym zarobkiem, martwił się jeszcze czas jakiś, zastosował się następnie do położenia swego i zakończył żywot w dostatku i wygodach. Wilhelm I w dawniejszym królewskim swoim stanie, ani pod względem dostatków, ani pod względem czci, jaką go otaczano, nie znajdował się w warunkach jaśniejszych od tych, śród których znalazł się, gdy na czole jego zajaśniała korona cesarska. Ceremoniał nawet nic stał się bardziej uroczystym. Osoba królewska i osoba cesarska pozostała tą samą monarszą, przed którą chyliły się i chylą głowy poddanych. Zadowolnienie trwało chwilę i przeminęło, jak zmartwienie przeciwnika pokonanego.

Takie samo dla osobistości firmowych było następstwo wojny r. 1866 i wojny r. 1859. Tryumfatorowie się cieszyli, pokonani się martwili; jedni doznali przyjemności, drudzy smutku — wrażenie przeminęło i zresztą nie zaszła zmiana żadna, któraby wpłynęła na utrzymanie w ciągłości smutku w jednych, radości — w drugich. Humory nawet do równowagi powróciły. Pamiętniki, opisy i sprawozdania, tyczące się pobytu Napoleona III w Chislehurst, mówią o cierpieniach, jakie mu sprawiała

---

4)

POWIEŚĆ.

BITWA POD WATERLOO

przez

Aleksandra Kiellanda.

III.

— A teraz, chodź pan do mnie i zjedz z nami kolacyę. Dom mój jest wprawdzie bardzo cichy, ale sądzę, że młodzieniec takiego jak pan charakteru nie będzie nic miał przeciwko spędzeniu jednego wieczoru w spokojnej rodzinie.

Jasiowi serce zaczęło głośno bić z radości; przyjął zaproszenie z właściwą sobie skromnością, i wkrótce z kapitanem był na drodze do 34 numeru.

Jakże mu się dziś wszystko szczęściło! Zaledwie przed kilku godzinami zobaczył ją po raz pierwszy, a już teraz przychodził, jako nadzwyczajny ulubieniec ojca, aby spędzić wieczór w jej towarzystwie.

Im bardziej zbliżał się do numeru 34, tem żywiej stał mu przed oczyma czarujący obraz panny Schrappe; jej jasne, kędzierzawe włosy, spadające na czoło, zgrabna, szczupła figurka, a potem figlarne, jasno-niebieskie oczy!

Serce mu tak biło, że zaledwie mówić mógł, a gdy wchodzili po schodach, musiał się mocno trzymać poręczy. Dostawał od szczęścia zawrotu głowy.

W salonie, w dużym rogowym pokoju nie znaleźli nikogo. Kapitan oddalił się, aby zawołać córkę; Jaś słyszał, jak wołał: „Betty!“

Betty! co za prześliczne imię i jak nadawało się dla tej uroczej istotki!

Szczęśliwy zakochany widział już w myśli, jak to pięknie będzie, kiedy wróciwszy po całodziennej pracy, zawoła do kuchni: „Betty, czy obiad już gotów?“

W tej samej chwili nadszedł kapitan z córką; ona zwracając się do Jasia, serdecznie go przywitała, podając mu rękę.

— Ale — dodała — musisz mi pan wybaczyć, jeśli się znowu oddalę; mam właśnie jajecznicę na kominie, a to bardzo ważne, wierzaj mi pan.

I z tem znikła, kapitan także wyszedł, aby ubranie swoje trochę uporządkować, a Jaś był znowu sam.

Całe to spotkanie trwało zaledwie kilka sekund, a Jasiowi się wydawało, jak gdyby w tej jednej chwili wpadł na kilka łokci głęboko w czarną, bezdenną otchłań. Trzymając się rękami o poręcz starego fotelu z wysokiem oparciem, nic nie słyszał, ani widział, ale na pół mechanicznie powtarzał kilka razy:

— To nie była ona, to nie była ona!

Nie. To nie była „ona.“ Dama, którą właśnie widział i która musiała być prawdziwą panną Schrappe, nie posiadała jasnych loczków na czole. Przeciwnie, miała ciemne włosy, gładko na skroniach zaczesane. Nie miała figlarnych niebieskich oczów, ale poważne, ciemno-szare — jednem, słowem nie była do jego ukochanej wcale podobną.

Po pierwszem osłupieniu, krew zawrzała w nim; dziki ból opanował go: złościł się na kapitana, na pannę Schrappe, na wuja Fryderyka, na Wellingtona — na świat cały.

Byłby duże lustro i meble połamał, a potem przez rogowe okno wyskoczył; później przyszło mu na myśl chwycić kapelusz, laskę i uciekać na dół, dom ten opuścić i nigdy już nie powrócić — albo — w żaden sposób nie chciał tu dłużej zabawić, o ile to nie było koniecznem.

Powoli przyszedł do siebie, ale głęboki smutek ciążył mu na sercu. Doznał nieopisanego rozczarowania w pierwszej miłości, a kiedy przypadkiem zobaczył się w lustrze, z politowaniem kiwał głową.

Kapitan, przebrany, wrócił w najlepszym humorze do pokoju. Rozpoczął rozmowę

choroba, ale o innych żadnych nie wzmiankują.

Najbliższe osobistości firmowych otoczenie, należące do tej sfery, która stanowiła wraz z nimi rodzaj stowarzyszenia, biorącego udział w przedsiębiorstwach politycznych, dzieliło ich zyski i straty. Zyski wypadły znaczne; straty atoli nie dały się uczuć dotkliwie. Przebiegłszy myślą wszystkich współpracowników Napoleona III, widzimy, że każdego z nich „nieszczęście" byłoby szczęściem dla milionów ludzi. Ich także nie dotknęło zmartwienie chwilowe, które przeminęło i ustąpiło miejsca smutkowi wygodnemu. Jeżeli któremu z nich na płacz się zbierało, to miał czem łzy obcierać. Ponieśli oni straty, lecz takie, jakie ponosi gracz w loteryę, gdy za złotówkę nie wyciąga losu wielkiego. Zawód nadziei świetnych — innego nic.

Porównajmy los owych nieszczęśliwców z losem tych, co w przedsiębiorstwach politycznych wyżej wymienionych brali udział bierny. Nie mówimy o żołnierzach, ginących na polu sławy, tracących nogi i ręce, nabawiających się kalectw. Dla kalek zresztą istnieją pałace inwalidów, gdzie oni, o bojach wspominając, w noski grają, podczas gdy, gdyby nie byli do pracy uniezdolnieni, służyliby za podporę rodzinom swoim i ich siostryą często i matki, nie utonęłyby w bagnie prostytucyi. Im samym nieźle się powodzi: wyperswadowali sobie, że niema co o matkach i siostrach myśleć, mają chleb i sławę, mają przytem zapewniony pogrzeb wojskowy— to im starczy. Los ich jest świetny w porównaniu z losem wyrobnika, posiadającego zdrowe ręce i nogi, któremu przedsiębiorstwo polityczne wytrąciło z rąk pracę, pozostawiając go na tygodnie, na miesiące całe bez zarobku. Zawichrzyło się — on bez chleba pozostał; zabrano mu do szeregów syna, któryby mu był dopomógł do żywienia rodziny. Fabryki, warsztaty, przedsiębiorstwa przemysłowe stanęły. Ludzi tysiące na bruk wyrzuconych zostało. Z drugiej znów strony pobory wojskowe pozbawiły rolnictwo rąk — role zaodłogowały. Tam sława, tryumfy — tu nędza.

Działo się to samo i dawniejszymi czasy, kiedy Malboroughowie wychodzili na wojnę. Ale stosunki były odmienne. Praca zarobkowa nie znajdowała się w takiem, jak dziś, natężeniu i zajmowała stanowisko oddzielne. Firmy polityczne działały na własną rękę, czerpiąc środki, gdzie i jak się udało. Praca, obok tego, że znajdowała się w karbach niewoli społecznej, mogła być przerwaną i odłożoną. Szkody, jakie stąd wynikły, były przemijające —później się wynagradzały. Powiadano nawet, że wojny pełnią w społeczeństwie tę samą funkcyę, co burze w przyrodzie — oczyszczają atmosferę. Nie pełniły one funkcyi tej samej, były jednak, dzięki mniejszemu zaludnieniu i wynikającej stąd większej łatwości życia, mniej uciążliwe i mniej w następstwach swoich szkodliwe. Lat parę pokoju usuwało ruinę. Ci, których plaga dotknęła bezpośrednio, wypłakali się, po kościołach śpiewali z rozrzewnieniem antyfonę: „Od powietrza, głodu, ognia i wojny, zachowaj nas Panie!" i wojnę, ogień, głód, powietrze przyjmowali w znaczeniu dopuszczenia bożego.

Czasy były inne, warunki, stosunki odmienne — warunki i stosunki, które sprowadziły wielką rewolucyę francuską i do których zatem powrócić już nie sposób. Przypuszczone do wglądania w sprawy polityczne, spodnie warstwy społeczeństwa prędko się dowiedziały, że to, co za dopuszczenie boże uchodziło, jest dziełem ludzkiem, wynikającem częstokroć z humoru, z temperamentu, z fantazyi człowieka pojedynczego. Obok świadomości tej zaznaczał się i akcentował rozwój stosunków i warunków, które doszły w końcu do stopnia natężenia takiego, że się liczy każdy dzień, każda godzina pracy, wywołując następstwa, wywiewające się jedne z drugich. Społeczność europejska zmieniła się w rodzaj maszyny skomplikowanej, skazanej na ruch ustawiczny, który iść musi krzywo, gdy się w maszynie tej bądź psują, bądź też nieopowiednio zadaniu jej urządzają tryby i walce. A zadaniem jej jest żywienie ludzkości. Więc krzywo ona idzie, ile razy wstrząśnie nią czynność wojenna i — bardzo krzywo idzie od czasu, jak, dzięki tryumfom pruskim, zaprowadzony został naturze jej przeciwny pokój zbrojny.

Bardzo ona krzywo idzie!

Stan obecny niedomagania ogólnego jest następstwem bezpośrednim tego, że sfery firmowe polityczne trzymają się polityki wielkiej Karola V, Ludwika XIV, zapominając, czy też nie wiedząc o tem, że jest już ona nie na dobie. Nastała epoka przemysłowa, przetwarzająca społeczeństwa, narody i państwa europejskie w jedno wielkie pomocy wzajemnej stowarzyszenie. Ani trochę nie chodzi obecnie o to, ażeby Niemcy prym trzymały, górą nad Francyą były i Austryę na smyczy prowadziły. Dążność ta, przenikająca niemców zapałem patryotycznym do usuwania rzeczywistych i urojonych przeszkód z drogi, jest, wobec zadań wielkich, niedorzecznością jaknajwiększą. Do nikogo bardziej, jak do pruskich mężów stanu, nie stosuje się wyrażenie, że: „o niczem nie zapomnieli i niczego się nie nauczyli." Zresztą w ciągu dalszym robią oni to, co przed nimi poprzednicy ich robili. Bismark jest odmianą Metternicha — rodzaj ten sam, gatunek inny. Z krzątania się Metternichów i Bismarków wynikło naprężenie stosunków społecznych, osnuwające fundamenty budowli państwowych siecią knowań anarchicznych. Te ostatnie są następstwem koniecznem tych polityki wielkiej wyskoków, które pozbawiając wyrobnika chleba powszedniego, wytwarzają w warstwach pracujących żale, pretensye i popędy, wywołujące czyny potworne. Bez zgrozy, naprzykład, czytać nie można o świeżo w Wiedniu odkrytem sprzysiężeniu, które miało na celu obrócenie w perzynę stolicy naddunajskiej. Materyały zapalne i wybuchowe znajdowały się już w pogotowiu. Obok tego jednak dowiadujemy się o wynalezieniu w Austryi karabinu, strzelającego 52 razy na minutę i we Francyi bomby, co w grunt „jak w masło" idzie i może miasto średniej wielkości za jednym razem w powietrze wysadzić. W wiekach minionych nie działała ona w ten sposób. Zagrożeni zwracali się z prośbą błagalną do Boga. Od czasu wszakże, jak warstwy dolne brać poczęły udział za pośrednictwem przedstawicieli interesów swoich w sprawach państwowych, od czasu tego przykład zaczął na nie oddziaływać w sposób prosty. Burzeniu przeciwstawić usiłują burzenie, w celu nie innym, jeno tym samym, ku jakiemu szykują się miliony wojsk i płyną miliardy groszy, wybieranych z kieszeni pracowników. Obłęd tu, obłęd tam. Wskutek obłędów tych idziemy ku przesileniu groźnemu, z którego wyjścia niema innego jak — utopia.

Mówimy o utopii pokojowej, koniecznej dla uregulowania warunków pracy, zapewnienia ludziom chleba i zażegnania knowań, mających za rodzica głód. Knowań tego rodzaju nie zażegna nowy niemiecki, ani inny jaki tryumf. Przeciwnie — try-

---

o polityce dnia. Jaś z trudnością dawał mu najkrótsze, najogólniejsze odpowiedzi; zdawało się, jak gdyby to, co było w kapitanie Schrappe interesującego, zniknęło dlań zupełnie. A teraz przypomniał sobie jeszcze Jaś, że mu kapitan obiecał podczas powrotu do domu opowiedzieć po kolacyi historyę o manewrach w Schoonen.

— Proszę do stołu — zawołała panna Betty, otwierając drzwi do stołowego pokoju, gdzie się już lampa paliła.

Kuzynek Jaś musiał jeść, bo był głodny; ale najczęściej spoglądał w talerz i mówił bardzo mało.

Dlatego też z początku ojciec i córka podtrzymywali rozmowę. Kapitan sądząc, że skromny młody człowiek czuje się w obecności panny Betty zawstydzonym, chciał mu dać czas do uspokojenia się.

— Szkoda, że nie zaprosiłaś na dziś panny Bech, ponieważ jutro ma już odjechać — mówił staruszek; moglibyście były naszemu gościowi coś zagrać na cztery ręce.

— Prosiłam ją, aby została, gdy była tu dziś w południe, ale musiała iść na wieczorek do innej znajomej rodziny.

Kuzynek Jaś ostrzył uszy. Czyżby miała być mowa o dzisiejszej damie?

— Wszak ci opowiedziałem, że była dziś rano na wale, aby się z mną pożegnać — mówił dalej kapitan — biedna dziewczyna! Żal mi jej doprawdy.

Teraz już nie było wątpliwości.

— Przepraszam pana — czy jest mowa o młodej damie z kędzierzawymi włosami i dużemi niebieskiemi oczami? — zapytał Jaś.

— Tak jest — odrzekł kapitan — czy pan znasz pannę Bech?

— Nie — odpowiedział Jaś; tylko przyszło mi właśnie na myśl, że to mogła być dama, którą mniej więcej koło dwunastej spotkałem na wale.

— To była ona! — mówił kapitan. Żadna dziewczyna — nieprawda?

— Bardzo ładna — odpowiedział Jaś z uczuciem i przekonaniem; czy ona ma jakie zmartwienie? Zdawało mi się, że pan kapitan...

— Tak, widzisz pan, była przez kilka miesięcy zaręczoną.

— Dziewięć tygodni — przerwała panna Betty.

— Tak? tylko tak krótko? No, i w tych dniach narzeczony zerwał z nią. Właśnie dlatego, jak pan się łatwo domyślić możesz, wyjeżdża na jakiś czas — do krewnych — zdaje mi się nad morze.

Była więc zaręczona, w każdym razie, tylko parę tygodni; było zawsze małe „ale."

Jednakże kuzynek Jaś dobrze znał ludzi i tyle już podczas obiadu zauważył, że uczucie jej dla dawnego narzeczonego nie było prawdziwą miłością; dlatego też mówił:

— Jeśli to naprawdę ta sama, którą dziś rano widziałem, rzecz tę dość lekko bierze.

— To właśnie miałabym jej do zarzucenia — mówiła panna Betty.

— Dlaczego? — zapytał Jaś trochę złośliwie; bo sposób, jakim młoda panna robiła swoje uwagi, nie podobał mu się wcale; czyżby było lepiej, gdyby się na śmierć zamartwiła?

— Nie, bynajmniej—odpowiedziała panna Schrappe, ale podług mnie, okazałaby daleko więcej siły charakteru, gdyby postępowanie narzeczonego bardziej ją oburzyło.

— Ja, przeciwnie, jestem tego zdania, że okazuje się najwięcej siły charakteru przez to, jeśli się nie ma nienawiści, bo siła charakteru kobiety leży w przebaczeniu— mówił kuzynek Jaś, który w obronie swojej ukochanej stawał się wymownym.

Panna Betty myślała, że gdyby młodzież w tych razach była trochę ostrożniejsza, gdyby ją to więcej obchodziło, zmniejszyłaby się o wiele liczba zaręczyn.

Kuzynek Jaś znowu twierdził, że jeśli jedna z interesowanych osób spostrzeże, iż popełniła błąd, albo ma najlepsze podejrzenie, że to, co uważa za miłość, nie jest prawdziwem uczuciem i prawdziwą miłością, to powinna nietylko przyspieszyć zerwanie, ale jestto nawet jej obowiązkiem, jako też otoczenia — przebaczyć, unie-

umfów przyczyni się jeno do spotęgowania głodu i rozwinięcia niezadowolnienia ogólnego na szerszą skalę. Ludzkość domaga się tryumfów innych, tryumfów, któreby zadawalały nie samo jeno przywidzenia, brzmiące echami konających przeszłości bezpowrotnej, ale potrzeby rzeczywiste a naglące, które koniec końcem górę nad fantazyami Bismarków różnego kalibru wziąść muszą. Przeciwko klęskom naturalnym powietrza, głodu i ognia ludzkość się o tyle o ile zabezpiecza i środków prezerwatywnych, do jakich się ucieka, nie uważa za utopię. Pozostaje jej jeszcze zabezpieczyć się przeciwko firmom politycznym, kierowanym przez Beustów, Olivierów, Bismarków i tym podobnych smutnych mędrców, niewiedzących, że w warunkach dzisiejszych wielka polityka jest polityką — chlebową.

T. T. Jeż.

Z FRANCYI.

Paryż, 20 października.

Otwarcie sesyi parlamentarnej. — Programowe przemówienia. — Interpelacya w sprawie zajścia z powodu zmowy w Vierzon. — Stary i nowy porządek. — Projekty ustawodawcze. — Zapis Chantilly na rzecz Akademii francuskiej.

Od kilku dni Izba rozpoczęła swą sesyę zimową. Ustawodawcze te narady poprzedzone zostały ministeryalnemi wycieczkami po całej Francyi, w czasie których panowie kierownicy nawy państwowej, za biesiadnymi stołami, wypowiadali wielkie mowy programowe. Zwracano szczególniej uwagę na wystąpienia prezesa gabinetu Freycineta, który trzykrotnie zabierał głos: w Tuluzie, Montpellier i Bordeaux. Ministrowie oświaty i handlu wraz z przemysłem, Goblet i Lockroy, przemawiali przy otwarciu nowych szkół ogólnych i specyalnych, wypowiadając życzenia w zakresie, ograniczonym ściślejszemi zadaniami — prezes jednak gabinetu usiłował nakreślić całkowity plan wewnętrznych prac parlamentarnych i scharakteryzować położenie. Mowy jego, szczególnie wielki popis oratorski w Tuluzie, ułożone zostały, przyznać należy, z wielkiem mistrzostwem, które było tem potrzebniejszem, że Freycinet starał się zręcznie przemykać między republikańską Scyllą i Charybdą, t. j. między konserwatyzmem nachylonym ku Rzeczypospolitej i radykalizmem, nieodmawiającym jej swego poparcia. Konserwatywnym monarchistom usiłował on okazać wszystkie korzyści ustroju republikańskiego, którego mogliby oni być mocną podporą, gdyby tylko chcieli i porzucili swe mrzonki. Jeden z takich na republikanizm nawróconych monarchistów, Raul Duval, nie ustaje apostołować w tym kierunku i zebrał już podobno sztabik niemały. Zdaje się też nie ulegać wątpliwości, że znaczna przynajmniej część monarchistów na tę wiarę przejdzie, gdy ujrzy zagrożone swe interesy najbliższe. Tymczasem jednak nie spieszą się. Rzeczpospolita bowiem tak bardzo jeszcze radykalną nie jest i nie ma miejsca dla tego rodzaju neofitów. Straszył następnie mówca republikanów widmem reakcyi monarchicznej, nawołując do jedności i zgody wobec wspólnego nieprzyjaciela. Ustępy te bardzo się podobały oportunistom, którzy narzekają wciąż na radykalnych, że żądaniami swemi i wystąpieniami psują tylko pożądaną w obozie harmonię. Gdyby jednak Rzeczpospolita spoczęła przedwcześnie na laurach oportunistycznych, wyszłaby na tem nieszczególnie. Nie zapomniał jednak Freycinet i o radykałach. Twierdził, że państwo zabezpieczać winno wszystkie interesy — jednakże winno pewną szczególną opiekę słabszym i wydziedziczonym. „Rzeczpospolita — rzekł — zbada środki, zapomocą których los robotników byłby bardziej zabezpieczonym, środki, któreby zapobiegły nieprzyjaźni między kapitałem i pracą, zażegnały nieporozumienia, które są oznaką głębokiego a nierozstrzygniętego jeszcze zadania.“ W Bordeaux zetknął się wprost z deputacyą syndykatów, przedstawiających umiarkowaną partyę robotniczą. Żądali oni reform prawodawczych, osłaniających interesy robotnicze i sprzyjających ich rozwojowi na drodze pokojowej i legalnej. Domagali się zmiany praw o syndykatach zawodowych i radach rozjemczych, kas zabezpieczenia od starości, wypadków itd. — wyrażali zresztą swe uznanie dla dobrych chęci obecnego rządu. To też, przemawiając następnie na uczcie w Bordeaux, Freycinet był zachwycony. „Odwiedzili mnie delegaci syndykatów robotniczych w Bordeaux. W życiu mojem nie słyszałem słów rozsądniejszych, bardziej podniosłych w skromności swych żądań, bardziej cierpliwych i bardziej męzkich jednocześnie, słów, odbijających głębokie poczucie spraw społecznych. Wyrzekamy się gwałtów, mówili mi, pogardzamy mrzonkami, nie zadawalamy się czczemi formułami, lecz domagamy się metodycznego, naukowego i kolejnego pokojowego załatwienia spraw, zdając się w tem na rząd i Izbę...“

Mówca rzekł w innem miejscu, że „rząd republikański czerpać winien natchnienie w szlachetnej krynicy wolności i postępu. „Porzućmy sposoby postępowania ustroju dawnego, które szukały zabezpieczenia porządku wbrew usposobieniom ludności.“ Zdarzył się jednak wypadek, w którym poczęto sobie tym właśnie dawnym trybem. W jednej z fabryk w Vierzon wybuchła zmowa, z powodu, że zarząd jej, bez racyi dostatecznej, wydalił część robotników. W odpowiedzi na to urządzono ogólne bezrobocie. Sprawa nabrała rozgłosu, przypominając niedawne zajście w Decazeville. Część pozostających w zmowie, ulegając namowom i pogróżkom, postanowiła wrócić do pracy, znaczna jednak większość trwała w oporze, starając się nie dopuścić do zerwania solidarności. Wystąpiły wtedy siły zbrojne, przyszło do utarczek; aresztowano wiele osób, między którymi znalazł się i mer osady. Na jednem tedy z pierwszych posiedzeń Izby dwaj posłowie: Henryk Maret, redaktor *Radicala* i Millerand wystosowali pod adresem ministra spraw wewnętrznych gorące interpelacye, zarzucając, że postępowanie w tej sprawie przypomina najprzykrzejsze zajścia z czasów drugiego cesarstwa. Minister usprawiedliwiał się słabo, bronił zresztą swych organów podwładnych i twierdził, że strzeżono tylko wolności pracy. Tłomaczył się również zaatakowany jednocześnie minister sprawiedliwości, biorąc znowu w obronę organa sądowe. W rezultacie Izba uchwaliła porządek dzienny nieprzychylny dla obu, wskutek czego minister spraw wewnętrznych ma się podać do dymisyi, jeśli burza w jaki sposób zażegnaną nie będzie. Izba tedy swem orzeczeniem potwierdziła, że nie wszystko dzieje się tak, jak życzył sobie p. prezes ministrów w swem przemówieniu. Gazety wszakże oportunistyczne napadają ostro na interpelantów, że psują harmonię i jedność, którą tak zalecał w swych mowach przewodnik gabinetu republikańskiego. Pano-

---

winnić, możliwie mało o tem mówić, aby sprawa jaknajprędzej poszła w zapomnienie.

Panna Betty odpowiedziała szorstko, że podług niej młodzi ludzie nie powinni się zaręczać „na próbę,“ żeby podczas tego szukać dopiero prawdziwej miłości.

Ta uwaga w najwyższym stopniu rozgniewała Jasia. Ale nie miał już czasu odpowiadać, bo w tej właśnie chwili kapitan wstał od stołu.

W pannie Schrappe było coś, czego on znieść nie mógł, a to tak go zajęło, iż na chwilę zapomniał o przykrej wiadomości, że ukochana jego, panna Bech, jutro miała odjechać.

Przyznać musiał, że córka kapitana była ładna, tak, nawet bardzo ładna; wydawała się rozumna i gospodarna, a widocznie pielęgnowała starego ojca ze wzruszającą czułością. A jednak Jaś mówił do siebie: „Biedna dziewczyna, ona nigdy za mąż nie pójdzie!“

Bo też nie miała zupełnie tej ujmującej niezaradności, która nas w młodej dziewczynie tak zachwyca. Mówiła z dotkliwym spokojem i pewnością siebie. Nigdy nie przychodziła z takiem czarującem, wpół skończonem zdaniem: „tak, nie wiem, czy mnie pan rozumie;“ „tak mi trudno jasno zupełnie się wytłomaczyć;“ „nie wiem, jak mam określić to, co myślę, ale czuję tak wyraźnie“—słowem, w pannie Schrappe nie było ani śladu tej „nieświadomości,“ tej „tajemniczości,“ będącej najpiękniejszym klejnotem kobiety.

Z początku podejrzywał ją trochę o to, że jest uczoną. A w tem musi każdy Jasiowi przyznać słuszność, że o ile kobieta chce tu na ziemi spełnić swoje zadanie (być żoną swego męża), nie powinna posiadać innych wiadomości, tylko takie, jakich mąż dla niej pragnie, albo jakich on sam jej udzielić myśli. Każdy inny zapas wiedzy będzie zawsze darem, bardzo dwuznaczącej wartości.

Kuzynek Jaś znajdował się w najgorszem usposobieniu. Była dopiero ósma, a podług niego, nie wypadało przed w pół do dziesiątej się pożegnać. Kapitan zasiadł przy stole i rozpoczął opowiadanie o manewrach. Nie było wymówki i — Jaś zajął obok niego miejsce.

Naprzeciwko niego siedziała panna Betty z robótką i z książką przed sobą. Jaś nachylił się i zobaczył, że był to romans z nowszej, niemieckiej literatury.

Było to jedno z tych dzieł, które Jaś zwykł głośno chwalić, ilekroć rozwijał swoje poglądy, zabarwione małym odcieniem wolnomyślności. Ale znaleźć książkę tę tutaj, w rękach młodej osoby, a w dodatku jeszcze po niemiecku (Jaś ją w tłomaczeniu czytał) uważał to w najwyższym stopniu za niestosowne.

A kiedy go panna Betty zapytała, czy mu się ta powieść podoba, odpowiedział, że jest to jedna z tych książek, którą powinni czytać tylko mężczyzni z dojrzałemi pojęciami i poważnemi zasadami, ale, że najmniej nadawała się jako „lektura“ dla dam. Zauważył, że młoda panna zarumieniła się i sam czuł, że postąpił niegrzecznie. Ale był w takiem fatalnem usposobieniu, a w dodatku ta młoda, doświadczona mała panna miała w sobie coś irytującego...

Gniewał się i nudził; nadto by kielich jego cierpień napełniony był po brzegi, kapitan rozpoczął korpus B — „z ciemności“ wysuwać naprzód.

Kuzynek Jaś przyglądał się z roztargnieniem, jak kapitan, zapałki, tabakierki, scyzoryki i inne małe przedmioty kazał przez stół przesuwać. Od czasu do czasu kiwał głową, ale wcale nie słuchał. Myślał o pięknej pannie Bech, której może już nigdy nie miał więcej zobaczyć, i od czasu do czasu rzucał ukradkiem z boku spojrzenia na pannę Schrappe, dla której był niegrzecznym.

(D. n.)

wie Millerand i Maret odpowiadają, że nie wszystko dzieje się najlepiej w tym najlepszym ze światów, milczeć zaś w pewnych wypadkach, jest to pokrywać nadużycia. Skrajna lewica uchybiłaby zresztą swemu zadaniu, przestałaby być sobą i ustąpiłaby szybko innym swego miejsca, gdyby, dla miłej zgody, przytępiła w sobie wrażliwość na pewne wypadki i zrzekła się roli przodownicy w obozie republikańskim. Ażeby zresztą okazać swe znaczenie, wraz ze swym przywódcą p. Clemenceau, postarała się wystąpić na widownię. Wiele ostatnimi czasy mówiono o przechyleniu się gabinetu na stronę prawą; trzeba więc było dowieść, że bez poparcia skrajnego odłamu gabinet ów może się znaleźć w mniejszości. W grze tej skrajna prawica poparła skrajną lewicę, co znowu spowodować może prawicę umiarkowaną do rychlejszego poparcia republikanów umiarkowanych.

Brak mi zresztą miejsca, a nie przedstawia to i zbyt wielkiego interesu, ażeby wchodzić we wszystkie szczegóły gry parlamentarnej, jaka się toczy ustawicznie zarówno we Francyi, jak i we wszystkich państwach konstytucyjnych. Stronnictwa często nie przebierają w środkach i trzeba być wytrawnym graczem, ażeby wszystkie posunięcia, silnie często maskowane, odgadnąć na parlamentarnej szachownicy.

Wracając jeszcze do zajść w Vierzon, zaznaczyć wypada szczegół charakterystyczny. W tym wypadku, jak we wszystkich dziś zmowach francuskich, występuje z jednej strony zarząd fabryczny, z drugiej — nie odosobnieni robotnicy, lecz organizujące się dopiero korporacye robotnicze, jak syndykaty itp. Związki wobec przedsiębiorców starają się opierać na solidarności korporacyjnej robotników i solidarność tę usiłują utrzymać. Postępując jednak w ten sposób, wchodzą w starcie z prawem obowiązującem, które zna tylko robotnika odosobnionego i nie zna żadnej łączności korporacyjnej. Wymaganie tej łączności nazywa się w terminologii prawnej nastawaniem na swobodę pracy — stąd walki. Przedsiębiorcy, którzy nienawidzą i obawiają się wszelkiej solidarności zbiorowej, obstają mocno za ową swobodą. Oddaje ona im w ręce roje robotników, nieposiadających żadnej spójni wewnętrznej i dlatego podatnych samowoli. To też powstające dziś wszędzie syndykaty robotnicze spotykają się z taką niechęcią ze strony przedsiębiorców. Występuje tu bowiem praca zorganizowana, korporacyjna, łączna, którą trudno pokonać. A przecież syndykaty robotnicze (dopiero od r. 1884) istnieją prawnie. W tych sprzecznościach starego i rodzącego się porządku rzeczy czerpią swe źródło starcia, jakich widowiskiem był niedawno Vierzon.

Spieszę jednak zaznaczyć jeszcze kilka faktów bieżących. Jeżeli minister spraw wewnętrznych ma nieprzyjemność z powodu zmowy i interpelacyi, to minister skarbu Sadi-Carnot od dość dawna grozi już ustąpieniem: uporać się nie może z komisyą budżetową, która odrzuciła jego plany finansowe, usiluje zaś przeprowadzić swoje, między którymi jest projekt podatku od dochodów, wywołujący już teraz wiele krzyku. Projekt kasy emerytalnej dla inwalidów pracy, a raczej reforma spaczonej pod tą nazwą instytucyi, wszedł na porządek dzienny. Z projektu uzupełniającego w sprawie szkolnictwa początkowego, wniesionego przez ministra oświaty, dowiadujemy się, że we Francyi pozostaje jeszcze do zsekularyzowania 11,000 szkół elementarnych, co dokonane ma być w ciągu lat pięciu.

Ze sfer pozaparlamentarnych zasługuje na zaznaczenie wspaniały zapis na rzecz Akademii francuskiej, zrobiony przez księcia d'Aumale, z domu Orleanów. Książe przekazuje testamentem, oczywiście po najdłuższem swem życiu, Akademii wielkie swe dobra Chantilly wraz z zamkiem i cennymi zbiorami. Majętność ta położona jest u samych prawie bram Paryża. Oceniają ją na 30 milionów franków. Mieszczące się w zamku „Muzeum Kondeusza“ otwarte zostanie dla publiczności, literatów i artystów. Dochód z majętności przynosić będzie Akademii pół miliona franków rocznie. Suma ta użytą ma być na cele naukowe i artystyczne, na pensye zresztą i nagrody dla pracowników w dziedzinie sztuk i nauk. Dar istotnie wspaniały. Książe d'Aumale w ślad za hrabią Paryża został niedawno wydalony z Francyi, na skutek impertynenckiego listu, jaki wystosował do prezydenta Rzeczypospolitej, po pozbawieniu go rangi wojskowej. Zapis sporządzony został w r. 1884. Ogłoszenie go dziś ma być zemstą szlachetną i odpowiedzią na wydalenie. Odzywają się głosy, żądające zdjęcia banicyi z tak hojnego i wspaniałomyślnego ofiarodawcy, za sprawą którego naród francuski wchodzi w posiadanie cennych zabytków i skarbów, nagromadzonych w ciągu długich wieków.

E. Przew.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Zgromadzenie narodowe bułgarskie rozpocząć ma swe obrady 31 października, jeżeli jakieś ważne wypadki nie przeszkodzą temu. Komisarz turecki zażądał również odroczenia posiedzeń, ale otrzymał od regencyi odpowiedź, że może to nastąpić wtedy tylko, jeżeli Rosya i Turcya w ciągu 2 tygodni przedstawią kandydata na tron książęcy. W ogóle przedstawiciele Rosyi zerwali zupełnie stosunki z rządem bułgarskim i usuwają się od działania, występuje natomiast Turcya i powtarza te same prawie żądania. Bułgarzy jednak łatwiej dają sobie radę z Portą, tembardziej, że energia jej i szczerość bardzo są podejrzane. Chcąc odjąć Turcyi powód mieszania się do spraw bułgarskich, regencya wydała rozporządzenie, ażeby posłowie z Rumelii nie przyjmowali udziału w wyborze księcia.

Dzienniki półurzędowe różnych państw wystąpiły jednogłośnie prawie z zapewnieniem, że Bułgarya musi być zostawiona swemu losowi i że Rosyi przypada główna rola w sprawach tego kraju. Dyplomaci oświadczyli, że do Tyrnowy nie pojadą, widocznie jednak później zmienili zdanie, bo najprzód pojechał komisarz turecki, potem włoski i angielski, za nimi zaś pospieszą pewnie inni, co w końcu zmusić może nawet gen. Kaulbarsa do odbycia tej podróży, chociaż bowiem z rządem bułgarskim zerwał wszystkie stosunki, nie może patrzeć obojętnie na zabiegi przedstawicieli innych państw.

Pomimo ostrzegających przedstawień dyplomacyi, regencya prowadzi dalej swą niebezpieczną politykę, uległą z pozoru, wyzywającą i upartą w istocie rzeczy. Nie można powiedzieć nawet, czy stronnictwo rządowe wyrzekło się stanowczo myśli powołania powtórnie na tron Battenberga. Podniesiono np. projekt, ażeby zgromadzenie wprost nie przyjęło abdykacyi księcia, który, rozumie się, wtedy uległby woli narodu. Rzeczywiście zgromadzenie nie ma prawie innej drogi wyjścia, nowego księcia obrać nie może, bo nikt nie występuje z kandydaturą, pozostaje więc albo powołanie na tron Battenberga, albo połączenie z Rumunią, do którego ta ostatnia nie ma ochoty, albo ogłoszenie rzeczypospolitej, albo wreszcie odroczenie wyborów.

Niektóre dzienniki przepowiadają nowy zamach stanu. Karawełow odłączył się od Stambułowa i Mutkurowa i jawnie występuje przeciw nim. W wojsku istnieje także niezadowolenie, ostatnie depesze donoszą o próbach wywołania rokoszu i o protestach oficerów. Niebezpieczeństwo, które grozi rządowi bułgarskiemu z tej strony, poważniejszem jest, aniżeli pogróżki i przestrogi dyplomacyi. Dotychczas regencya stara się energicznie stłumić prądy nieprzyjazne, Karawełow ma być usunięty z rządu, chociaż obiecuje, że on raczej rząd usunie. Oficerowie, którzy wyrazili swe uwagi, zostali surowo ukarani. W Filipopolu aresztowano nawet wszystkich wybitniejszych stronników opozycyi, podejrzanych o zamiar wywołania rewolucyi. Podczas tych aresztów otoczono wojskiem konsulat rosyjski, co bezwątpienia wpłynie bardziej jeszcze na zaostrzenie obecnych nieporozumień.

Inne sprawy polityczne zeszły obecnie na plan drugi. W związku z kwestyą bułgarską wspominają o porozumieniu między Rosyą, Francyą i Turcyą w sprawie egipskiej, chodzi tu mianowicie o zawezwanie Anglii do wycofania wojsk swych z tego kraju.

W Prusach zachodnich w okręgu brodnickim na posła do sejmu niemieckiego wybrany został kandydat rządowy; poprzednio okręg ten przedstawiał zmarły niedawno J. Łyskowski. Od czasu rozpoczęcia kampanii przeciw polakom jest to już drugi okręg stracony, chociaż w ostatnim wypadku nawet niektórzy niemcy głosowali za kandydatem polskim.

Hr. Beust, jedna z wielkich gwiazd politycznych, które tak rzęsiście spadały z nieba podczas wschodu słońca pruskiego, dogasł pod Wiedniem. Początkowo minister saski, później austryacki, współdziałał w utworzeniu obecnego systemu dualistycznego monarchii habsburskiej. Jako jej sternik spraw zagranicznych wyzwał do walki Bismarka, chciał pokonać Prusy sojuszami — i padł zwyciężony. Był już tylko posłem austryackim w Paryżu i w Londynie, a wreszcie przyjacielem literatury i muz wszelkich. Nienawiść do Prus, którą doniósł do grobu, zjednała mu sympatyę.

W Dubnicy bułgarskiej podczas wyborów odegrał się dziki dramat. Chłopi, stronnicy Cankowa, rozpędzili biuro wyborcze a jego członków pomordowali. Tłum rozcinając ciała i wyciągając z nich wnętrzności długo pastwił się nad swemi ofiarami z nieopisanem okrucieństwem. Ciekawe szczegóły tego napadu wścieklizny podaje *Gazeta polska*.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

SZKOŁA GALICYJSKA.

Lwów, 20 października.

Od dwudziestu lat wychodzi tu tygodnik *Szkoła*, organ Towarzystwa pedagogicznego, instytucyi, mającej, obok Rady, najwyższą w rzeczach szkolnictwa powagę. Świeżo ogłoszone sprawozdanie tego Towarzystwa i Rady szkolnej, oraz „Wiadomości statystyczne,“ wydane niedawno przez Wydział krajowy, rzuciły nieco światła na ten przedmiot; ale chociaż nie podają fałszywych wiadomości, nie mówią *zupełnej* prawdy. Chcąc dotrzeć do samego „jądra gęstwiny,“ musimy opukać centralny organ szkolnictwa, gdzie nasi najwięksi pedagogowie składają „swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty.“ Rzecz to nie tak łatwa, jak się wydawać może z pozoru. Nasz organ pedagogiczny chodzi zawsze w mundurze po szyję szczelnie zapiętym, a jako należący do dobrze wychowanych, obraca się tylko w wyższych sferach, gdzie dla „gawiedzi“ przystęp

wzbroniony. Nie mając tedy klucza do tych gabinetowych tajemnic, spróbujmy otworzyć je wytrychem krytyki.

Przypatrzmy się przedewszystkiem samemu „Towarzystwu pedagogicznemu.“ Złożone z nauczycieli ludowych, powinnoby ono bronić interesów tej biednej, upośledzonej warstwy pracowników, którzy u nas prawie wyłącznie dźwigają zaszczytne, lecz ciężkie zadanie oświaty ludu. Położenie ich jest rzeczywiście rozpaczliwe. Trzysta, w niektórych szkołach dwieście złotych rocznej płacy, odbieranej nieraz *in natura*, ma wyżywić, ubrać i zaspokoić wszystkie fizyczne i umysłowe potrzeby nauczyciela i jego licznej nieraz rodziny. W takich warunkach ten, który niesie światło dla dziatwy wsi całej, często pokoleń całych, nie może własnym dzieciom dać odpowiedniego wykształcenia. Synowie nauczycieli ludowych zajmują najniższe stanowiska, rodzice bowiem nie mogą ich posyłać do szkół średnich i wyższych, gdy synowie lokajów i stróżów kończą uniwersytety.

Ważna to sprawa społeczna, wymagająca, jeżeli nie ostatecznego załatwienia, to przynajmniej ulgi. Tymczasem zarząd Towarzystwa prawi o „poświęceniu,“ o „apostolstwie“ piękne frazesy, którymi chce zamydlić oczy prostaczków.

Wy „poświęceń“ chcecie od nas,
„Pracy ciągłej dla narodu,“
Lecz my w zamian chcemy od was
Chleba, by nie ginąć z głodu.
Wy mówicie, że nas „czcicie,“
Żeśmy jak ci „apostoli,“
O! wy pewnie w to wierzycie,
Bośmy jak i oni — goli!

Głos nauczycielski.

„Wy,“ zajmując wysokie posady i mając pełne żołądki, o głodzie masy robotników ani słyszeć nie chcecie, *Szkoła* wasza tłomaczy: ponawianie próśb do Sejmu o poprawę doli nauczyciela wiejskiego mogłoby zaszkodzić powadze zarządu... Nic więc dziwnego, że nauczyciele, dla których niby to istnieje Towarzystwo, nie mają do niego zaufania, że nauczyciele szkół średnich wystąpili z niego i zawiązują odrębne, że ludowi bądź założyli nowe, ruskie towarzystwo pedagogiczne, którego organem jest *Szkilna czasopyś*, bądź stanęli w otwartej opozycyi i zgrupowali się około *Głosu nauczycielskiego*, wydawanego od czterech lat w Kołomyi. Gdyby nie ten śmiałek, drzemałoby Towarzystwo wygodnie wśród kłębów dymu pochwalnego, jaki mu puszczają pod nos „wyższe władze,“ lecz znaleziono i na zuchwalca bicz; oto każdy wyraz boleści, każdy objaw bezstronnej krytyki, konfiskuje prokuratorya państwa, a *Szkoła* dolewa do tego piekielnego ognia oliwy, nazywając redakcyę *Głosu nauczycielskiego* „burzycielką porządku społecznego.“

Posłuchajmy, jakie to „zdrowe“ zasady krzewi poważna instytucya pedagogiczna. Na pytanie: „*Czy potrzebne jest* wykształcenie dla płci *pięknej i jak daleko* sięgać ono powinno (temat rozbierany w kółkach, naturalnie po myśli władz wyższych), odpowiada *Szkoła* wyznaczeniem „kapłance ogniska domowego“ podrzędnej roli: „Nie zakwitną rodziny, jeżeli matki pójdą do fabryk i warsztatów, choćby tam jaknajwiększy znachodziły zarobek.“ Zdanie to wygłasza redaktor, gorący szermierz szkół przemysłowych dla kobiet, obdarzywszy ich takim planem kształcenia, w którymby uczono z całą swobodą języków obcych. „Natomiast plan nauk przyrodniczych wymaga, podług niego, koniecznie ograniczenia, sama metoda udzielania tych nauk musi być niezmiernie oględną, aby nie budziła pewnych drażliwości — zawsze z uwzględnieniem nietykalnego „das ewig Weibliche.“ „Zawody, wymagające wybitnych zdolności duchowych, nie są dla kobiet dostępne. I tak zawód lekarski, kierowniczy, przedsiębiorstwo zakładów naukowych, towarzystw“ itp. Wogóle „pomysły emancypacyi kobiet mogą być tylko utworem chorobliwej fantazyi.“

Szrubę reakcyi, tłumiącej każdy śmielszy objaw życia i wychowania, przykręca coraz mocniej c. k. organ Towarzystwa, grożąc zmiażdżeniem wszelkich postępowych idej, a cofa się w tym wstecznym kierunku dalej, niż sam minister zaciemnienia — Gautsch. Wymowny tego dowód złożyła redakcya w swym komentarzu do rozporządzenia ministeryalnego o rewizyi czytelni szkolnych pod względem politycznym i religijnym (nr 8—9 z 1886 r.); natomiast o cle, nałożonem przez Gautscha na oświatę, a uniemożliwiającem naukę dziatwie biedniejszej, nie dała żadnych objaśnień. Te i tym podobne sprawy zabija się milczeniem, *Szkoła* bowiem trzyma się taktyki, że „w sprawach natury na pół politycznej, *wchodzących w działanie rozmaitych władz ustawodawczych i wykonawczych*“ — nie zabiera niepotrzebnie głosu. Zasadę tę, mającą wyrabiać ślepe narzędzia owych „władz,“ szczepi gorliwie śród nauczycieli, używających prawie wszystkich „wolności“ konstytucyjnych, a nawet wprost odradza im, aby „nie kwapili się do brania czynnego udziału w życiu publicznem!“

Plagą naszego szkolnictwa są inspektorowie, zwykle suplenci gimnazyalni, niemający wyobrażenia o rzeczy. Zamiast pracowania około podniesienia ludu, trzymają oni za czuby swych „braci młodszych,“ przepędzają z posady na posadę, wskutek czego wytworzył się między nauczycielstwem a jego nadzorcami taki rozstrojony stosunek, że uciekano się aż do pomocy prawnej. Tymczasem szanowny organ c. k. Towarzystwa pedagogicznego chce wmówić w czytelników, że „między nauczycielami a inspektorami żadnych naprężeń niema,“ przemawia nawet za „stabilizacyą“ (dobrze, że nie za dziedzicznością) inspektorów. Będzie więc nauczyciel bosy, obdarty, ledwie nie z głodu ginący, ale za to ostro nadzorowany i samowolnie karany przez dozorcę, którego z posady nikt nie usunie. Nic więc dziwnego, że wobec takiego stanu rzeczy liczba kandydatów do nauczycielstwa z każdym rokiem się zmniejsza (już w 1884 o 12%); zostają same odpadki — i sprawdzi się przepowiednia, że „będą oficerowie bez wojska.“

Nasi opiekunowie szkolnictwa chlubią się działalnością władz autonomicznych na polu oświaty; dane statystyczne jednak wykazują tylko ogromne luki. Dość powiedzieć, że mamy jeszcze 2,376 gmin wcale niezaopatrzonych w szkoły, a gminy te obejmują 1,349,692 mieszkańców, tj. jedną czwartą część ludności (Pilat: *Statystyka szkół ludowych w Galicyi*, 1885, str. 14); że Galicya liczy 1.792,559 męskich i 1,994,739 żeńskich analfabetów, tj. 74% mężczyzn i 80% kobiet nie umie ani czytać, ani pisać, że więc w oświecie krajów koronnych zajmujemy razem z Bukowiną i Dalmacyą miejsce ostatnie. Nawet w okręgu lwowskim, tuż pod nosem „władz,“ przypada na 100 mieszkańców 73 męskich i 83 żeńskich analfabetów! O tem milczy organ Towarzystwa, czy może takie rzeczy są także „natury na pół politycznej?“ Ale za to inspekcya jest „wzorową,“ wydano orzeczeń, skazujących na karę aresztu, 3,904, a skazujących na grzywny pieniężne — 28,983, przyczem ściągnięto np. w roku 1884 10,245 guldenów — od biednego ludu, który nie może dzieci posyłać do szkoły bo nie ma ich w co odziać, tem mniej zaopatrzyć w książki i potrzebne do nauki przybory, a nieraz nawet czem wyżywić.

Szkoły ludowe w Galicyi stoją wyżej od gimnazyalnych, jakich chyba nie znajdziesz w środkowej Europie, ale pozostawiają i one nie jedno do życzenia. Do najgorszych należą t. z. niezorganizowane, które obecnie służą jeszcze 450 gminom z ludnością 300,000. Oto, jak je charakteryzuje sama Rada szkolna: „Szkoły te nie zasługują w rzeczy na nazwę szkół. Nauka trwa w nich tylko od połowy listopada do połowy kwietnia, dzieci wyuczają się w nich zaledwie mechanicznego czytania i nieco pisania, albo raczej gryzmolenia. Nauczycielami są zwykle pisarze gminni, organiści, dyacy, rzemieślnicy a nawet włościanie — ludowi zależy na tem jedynie, aby dzieci z książkami do modlenia chodziły do kościoła; innej też korzyści nie przynoszą te szkoły, a za to wyrządzają sprawie oświaty szkodę znaczną. Nieustalone płace nauczycieli tych szkół pokątnych są rozmaite i zależą od corocznie zawieranej ugody. Tu i owdzie płacą im za całą zimę 20 do 60 złr. i po garcu zboża, gdzieindziej dają im po 2 złr. miesięcznie i wikt kolejno. Nauka odbywa się najczęściej w mieszkaniu samego nauczyciela lub u którego z włościan...“ (Sprawozdanie to Rady szkolnej odkryło *wyjątkowo* smutną stronę wychowania publicznego w Galicyi, następujące po nim jest już bardzo oględne).

Zamiast pracować nad podźwignieniem ludu z tego okropnego stanu ciemnoty, który tu ledwie kilkoma rysami zaznaczyć mogłem, podziwiają się wzajemnie członkowie zarządu Towarzystwa, będący po części członkami Rady szkolnej, albo inspektorami, i przedstawiają w fałszywem świetle szkolnictwo przez pokrywanie jego błędów i niedostatków. Każdy nowy redaktor *Szkoły* chwali ustępującego i odwrotnie, obaj zaś kadzą członkom zarządu, a wszyscy razem biją pokłony przed czcigodnym prezesem, który znów odwdzięczając się pięknem za nadobne, chwali redaktora, członków zarządu, całe Towarzystwo. Towarzystwo pedagogiczne, połączywszy się z dwoma stowarzyszeniami oświaty ludowej, rozwinęło nadto na szeroką skalę wydawnictwo dzieł i broszur dla „maluczkich,“ ale o tej kategoryi społeczno-literackiej nędzy galicyjskiej pomówimy, jeżeli pozwolicie, innym razem.

K. N.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA NIEMIECKA.

ARYSTOKRACYA DUCHA.

Tak swą książkę*) nazwał bezimienny autor niemiecki. Zdaniem jego źle się dzieje wśród dzisiejszej ludzkości. Podczas gdy w świecie zwierzęcym wogóle każdy osobnik o własnej istnieje sile, w rodzie człowieczym przymioty osobiste niewielką tylko mają wartość. Związek społeczny wytworzył potęgę, z którą jednostka walczyć nie może, tylko z niej korzystać. To znów zależy głównie od przypadku urodzenia. Posiadanie stanowi dziś dyspensę od współzawodniczenia przymiotami osobistymi, a prawo spadkowe daje abonament dziedziczny na miejsce przy uczcie życia. Skutkiem tego znaczna część najlepszych warunków bytu przypada w udziale jednostkom niegodnym, których jakość osobista pogarsza naturę rodu naszego, oraz mnóstwo ludzi, osobiście doskonałych, mniej lub więcej marnieje pod wpływem warunków nieprzyjaznych, jakie dla nich pozostały.

Szukając przyczyn złego, jedni biorą znienawidzone części lub urządzenia społeczne: kościół, niewiarę, żydów, rząd,

---

*) „Die Aristokratie des Geistes als Lösung der socialen Frage.“ Lipsk.

stronnictwo jakieś i — przedmioty te robią kozłami ofiarnymi. Następstwem tak błędnych wyobrażeń są niedostateczne próby środków zaradczych. Próby te są albo całkiem chybione, albo też na podobieństwo leków partackich wymierzone jedynie przeciwko przyczynom pośrednim. Tego rodzaju ciasnym poglądom autor przeciwstawia swój własny, polegający na uogólnieniu pojęcia społecznego. Według niego, to złe płynie z niedostatecznej zdolności przystosowywania się, którą znów spowodowywa zwyrodnienie doboru naturalnego wśród ludzkości. Ludzkość — powiada autor — usilnie stara się, aby o ile możności przedłużyć istnienie wszystkich swych osobników ułomnych, wszystkich wyrodków pod względem fizycznym, umysłowym i moralnym lub tych, którzy w ciągu życia, skutkiem wpływów nieprzyjaznych, zostali zepsuci, często nawet wbrew woli jednych i drugich; wymaga tego humanitarność nowoczesna. Prócz tego świadomość o równouprawnieniu wszystkich istot ssąco-dwunożnych wymaga, aby w swobodnych stosunkach z ogółem jaknajmniej były ograniczane nawet jednostki kalekie i zepsute, z wyjątkiem przestępców, szaleńców i idyotów, którzy dla ochrony społeczeństwa jedynie są pod kluczem i z których ostatni tylko często wypuszczani bywają na arenę publiczną. Że w następstwie tego humanitarnego odstępstwa od bezwzględnego prawa doboru naturalnego ludzkość, jako całość, niezliczone ponosi szkody i w rozwoju swym zostaje wstrzymaną — widzimy odrazu.

W dalszym ciągu autor wykazuje cały wpływ fatalny, jaki na społeczeństwo wywierają jednostki źle przystosowane pod względem fizycznym, umysłowym i moralnym. Zgubność ich widzi przedewszystkiem w dziedziczności, w łatwości przenoszenia zarazy cielesnej i w znacznem pomnożeniu ogólnej sumy pracy społecznej, wskutek konieczności żywienia chorych i niedołężnych, oraz utrzymywania lekarzy, służących i całych instytucyj filantropijnych. Nadto zaniedbanie zdrowia fizycznego wyradza pewien rodzaj rozumu, który zdolnym jest wprawdzie przeniknąć w najdalsze przestwory nieba i najdawniejsze epoki ziemi, który ma czas zatapiać się w najbardziej oderwanych kombinacyach cyfrowych i zbierać niemający żadnej wartości pył historyczny—lecz nie ma siły, ani czasu do panowania we własnym domu. Następstwem zaś takiej fizyologicznej niemocy rozumu jest albo osłabienie zupełne siły życiowej, albo, w najlepszym razie nieprzyjemne przystosowanie cielesne: przyrządy trawienia i płciowe niestosunkowo się rozwijają kosztem funkcyj innych, zwłaszcza mózgowych. Zwyrodnienie fizyczne sprowadza rozstrój inteligencyi, za tym idzie panowanie dziwacznych zwyczajów, naśladownictwa bezmyślnego, oraz spaczenie smaku i poglądów publiczności. Te ostatnie w literaturze i sztuce umożliwiają istnienie miernych zdolności autorom i artystom, a nawet znieprawiają zdolnych.

Szerzy się również i zaraza moralna. Weźmy np. — powiada autor — szczerość. Być zupełnie szczerym i ponosić znaczne koszta tej cnoty w społeczeństwie, które kłamie dla uniknięcia małych jedynie nieprzyjemności, które często nietylko że kłamstwami jest przetkane, lecz nadto pod wielu ważnymi względami opartem jest na kłamstwach zwyczajowych— w takiem społeczeństwie być zupełnie szczerym i wogóle zupełnie moralnym— nietylko już nie jest moralnem, ale wprost głupiem.

Szczególny rodzaj zła społecznego, według autora, stanowią ci, którym nie tyle brak inteligencyi lub sympatyi, ile raczej niekorzystne stanowisko wśród ogółu przeszkadza im do moralnego przystosowywania się i którzy ze względu na zewnętrzne swoje położenie żadnego nie mają interesu w utrzymaniu istniejącego porządku rzeczy.

Na podstawie danych i rozumowań w tym duchu, często z nużącą rozwlekłością prowadzonych, autor dochodzi do kilku wniosków ogólnych, które formułuje w ten sposób:

„Przyczyną wszystkich goryczy wśród cywilizacyi nowoczesnej, robakiem toczącym piękny z pozoru owoc, jest to, że postęp osobisty jednostek coraz więcej pozostaje w tyle po za postępem rzeczowym stosunków. Stopień wiedzy, niedawno przedtem nieprzeczuwany nawet, cywilizacya nasza przeniosła— na papier, ale głowy są za słabe, żeby wiedzę tę odpowiednio przetrawić i przyswoić sobie. Wszystko, co ludzkie, zostało wydelikatnionem w sposób niebywały, ale rozum stracił kontrolę, wypuścił z rąk cugle i porywa go w dal niepewną bieg przyrodzony, który on sam przyspieszył. Moralność zadawalającą, choć nie wolną od błędów, cywilizacya nasza wytworzyła — na papierze i mniej więcej zaszczepiła ją w lepszych głowach, lecz jak mało tej moralności w przeciętnych działaniach naszych, o ile nie wymuszane są przez prawo! Idealizm najszczytniejszy i najpiękniejsze typy ludzkie zrodziła cywilizacya — na papierze poetów, w życiu natomiast — większość poziomo myślącą i do poziomych celów zdążającą. Niechaj stosunki ludzkie ukształtowane będą tak, jak tego wymagają jednostki wyżej rozwinięte, przedewszystkiem za pomocą rozumnego doboru naturalnego, który postawi u steru najlepszych, a niezdolnych uczyni nieszkodliwymi."

To „postawienie u steru najlepszych" czyli odrodzenie ludzkości przez wytworzenie arystokracyi ducha stanowi rdzeń całej teoryi autora.

Teorya ta w niewielu da się streścić słowach. Radzi ona przeprowadzić rozdział wśród ludzkości przez odłączenie jednostek pod względem umysłowym i moralnym wysoko rozwiniętych, wydzielenie ograniczonych i umysłowo niedołężnych, niemniej przez wyparcie złych i przewrotnych. Pierwsza część zadania tego dopiętą będzie, gdy ludzie światli, znani sobie wzajem z prawości i zacności, utworzą pomiędzy sobą związek najściślejszy dla szerzenia idej swych słowem i czynem, gdziekolwiek ku temu nadarzy się sposobność. Autor wierzy, że związek ten, owa przyszła arystokracya ducha, jakkolwiek milczy początkowo, z czasem dojdzie do zapanowania nad ludzkością całą, gdyż arystokracya ta jedynie ma w sobie zarody trwałości, czego nie posiadały ani starożytna arystokracya przypadku, ani średniowieczna — siły fizycznej, ani wreszcie współczesna arystokracya pieniężna. Co do klasy umysłowo niedołężnych — o tej myśleć i opiekę nad nią roztoczyć będzie obowiązkiem tego związku właśnie, który głównie dbać powinien o to, aby doprowadzić członków jej do dobrowolnego pozyznania podległości swojej, aby zabezpieczyć im dostateczny byt ekonomiczny i przyuczyć do poprzestawania na małem. Wyparcie ze społeczeństwa osobników złych i szkodliwych ma następować przez obrzydzenie im i uniemożliwienie pobytu w miejscowościach zasiedlanych ludnością niezepsutą, przez udzielenie dla nich specyalnych schronisk zgnilizny, w których ma im być dozwolona wszelka swoboda pędzenia życia rozpustnego i przez karanie wszelkich przestępstw dożywotniem zamknięciem. W ten sposób autor spodziewa się, że przewrotność zamiast jak dotychczas wgryzać się w cały ogół społeczeństwa, sama siebie pożerać będzie i dojdzie do rozkładu, bo tylko wzajemne oddziaływanie pomiędzy nią a lepszymi żywiołami społecznymi stoi na przeszkodzie ostatecznemu jej zatraceniu i moralnemu zdrowiu ludzkości.

Niewykonalność tej teoryi widoczną jest na pierwszy rzut oka. Rozdział społeczeństwa na dwie klasy: silnych duchem i umysłowo niedołężnych; któż będzie wyrokował o jednych i drugich? A gdyby się znalazł taki, czyż samo przeciwstawienie klasie panującej klasy helotów nowożytnych, nie byłoby zadaniem nowej rany ludzkości, którą się uleczyć pragnie? Wyparcie złych — gdzież siła, która temu podoła?

Pomimo słabości tych punktów zasadniczych, autor jednak ma tę zasługę, że dosadnie scharakteryzował złe, nurtujące w łonie społeczeństw nowoczesnych i że na niejedną stronę zła tego jaskrawe rzucił światło — *et in magnis voluisse sat est.*

Ad. J. Cohn.

TAJEMNICE „ŚMIETANKI."

Nieco odmienniej wprawdzie brzmi tytuł sążnistej powieści, o której pragniemy mówić — jednak daleko właściwszym byłby powyższy nagłówek. Streszczałby on zwięźle a wiernie cały łańcuch okropności, jaki ciągnie się przez trzy tomy utworu p. Leonarda Sowińskiego: „Na rozstajnych drogach" (Warszawa).

Ile razy w literaturze nadobnej ukaże się dzieło, dotykające najważniejszych zagadek chwili, budzi słusznie szerokie zainteresowanie. Jest ono udziałem i tej powieści już chociażby ze względu na imię autora. Zobaczmy, czy, o ile i w jaki sposób oczekiwanie usprawiedliwia.

Szanując nerwy czytelników, krótko opowiemy osnowę. Na Podolu w wysoko arystokratycznej rodzinie Sas-Przyjemskich rozwija się śliczny pączek — Ksenia, najmłodsza z rodzeństwa — które oprócz dwóch starszych, znających już węzły hymenu sióstr, składa się nadto z braciszka, tego samego co ona kroju, pięknego, szlachetnego, zdobnego zresztą we wszystkie wymarzone zalety ducha i ciała. Matka, hrabina—wdowa, utrzymuje dom na stopie najwyższej wytworności i etykiety — w czem dopomagają jej goście okoliczni, ludzie tego samego, z małymi wyjątkami, szczebla towarzyskiego. Atmosfera moralna dworu jest w zasadzie najwstrętniejszą, sumienie bowiem pani obciążone jest potworną zbrodnią zakopania żywcem dziewczyny, którą miłował nieboszczyk mąż, co jednak pozostaje szczęśliwie tajemnicą i zaledwie w postaci mglistych wieści krąży wśród śmielszych mieszkańców Sasowa. Za czyn ten, odkryty przypadkiem, zmarły ukarał winowajczynię rozłąką, a dziecię, które ona w łonie swem wówczas nosiła, nazwał imieniem nieszczęsnej kochanki, niepomny, że będzie ono przypomnieniem strasznego grzechu i nienawiść występnej matki ściągnie na siebie. W istocie Ksenia nie cieszy się sympatyą jej i wraz z bratem Stasiem stanowi oazę na bezbrzeżnej pustyni zepsucia. Pewnego razu losy naniosły na nią byłego kolegę Stasia, nihilistę Horna, kryjącego się przed władzami. Uległ on czarowi młodej bohaterki i z całym aparatem szatańskich zasadzek i odurzającej wymowy starał się ją zarówno dla zmysłów swych, jak i dla celów partyi rewolucyjnej usidlić. Czując instynktowną ku sobie w Kseni nieufność, usiłuje podbić ją udanem poświęceniem dla wielkiej sprawy i zdemaskowaniem czarnej przeszłości jej matki oraz nie lepszej teraźniejszości otoczenia. Kształci wrażliwy umysł na Proudhonie, zaszczepia na młodym pniu niewiarę i pogardę dla istniejącego porządku rzeczy — a że jednocześnie zarzuca sieci dokoła na wszystkie łatwowierne ryby, zapuszcza dłonie w pełniejsze kieszenie i wkrótce potem popełnia w Kijowie ohydną zbrodnię, więc biedna ofiara propagandy, zrażona do życia i świata, staje na rozdrożu, zobojętniała, zniechęcona, łaknąca ideału, podnio-

słych uczuć. Wskrzesza ją ponicką opiekun jej i brata Włodzimierz Szczuka, posągowy szlachcic, natura podniosła i wykształcona, zapalony wielbiciel rewolucyi francuskiej i jednocześnie wielce bogobojny (!!), pokazuje jej wzory prawdziwego zaparcia się siebie, budzi w niej zapał dla Żyrondy, ale jej marzeń dziewiczych nie wraca. Małżeńskie plany matki, która chce się z ruiny majątkowej ratować ofiarnością przyszłego zięcia, zaprowadziły Ksenię do miasta Samosławia. Tam spodziewa się odżyć w kole arystokracyi ducha, w gronie poetów i literatów, ale rozczarowuje się prędko, znalazłszy w nich tylko wymuszoność, czczość, błazeńską cześć dla jakiejś pretensyonalnej wieszczki. To samo spotyka i wpośród cyganeryi literackiej, gdzie ją odpycha znowu zarozumiałość, pogoń za zyskiem i frazeologią. Wreszcie, by uniknąć sideł matki, woli poślubić opiekuna, kochana przez niego bez granic. Związek z człowiekiem, choć o twarzy jeszcze pięknej, ale dwa razy od niej starszym, estetycznej rozkoszy jej nie daje, iskry bożej w niej nie zapala; zaczyna schnąć, więdnieć i musi z nim uciekać pod niebo włoskie. Tu poznaje się z młodym, jak Adonis cudnym, a natchnionym poetą Marą, również polakiem, z którym wkrótce sprzęga się gorącą, tak upragnioną i wyczekiwaną miłością; mimo głębokiego idealizmu i obawy zbrukania czystej duszy plamą wiarolomstwa, oddaje mu się po długiej walce, lecz nie mogąc błędu przenieść, wpada w chorobę sercową i po powrocie do ojczyzny kona.

Druga ofiara djabelskich, jak niosło podanie, koligacyj rodu Sas-Przyjemskich, Staś, również tragicznie umiera. Narzuciła się mu piękna i ambitna, lecz nikczemna parweniuszka i chwile zapomnienia kazała okupić stułą. W uściskach samolubnej, bezdusznej zalotnicy, zamieniającej się szybko na ścierkę — dusi się, pogrzebawszy już wcześniej swe marzenia szczytne.

Dzieje te więc dwóch typów dodatnich niewesołe. Morał ich ujął i wypowiedział p. Włodzimierz w żałosnej skardze na brak „busoli“ jego pupilów. Widzi w nich rezultat praw dziedzicznych, zmonek źle pojętej niezawisłości, które koniecznie rodzą konwulsyjne szamotanie się i całkowitą bezsilność wobec rzeczywistego życia. Brak im jedynego drogowskazu, którym kierując się, można pozostać czystym, zacnym i silnym — a tym drogowskazem jest dobro powszechne.

Jak *deus ex machina* zjawiło się to szlachetne godło — można się było z biegu i plątaniny wypadków spodziewać wszystkiego, tylko nie tego wniosku. Autor uwieńczył nim, jak koroną, swoje długie opowiadanie, ale nie zastanowił się, czy taka w istocie płynie zeń nauka. Któż tam jest „na rozstajnych drogach“ pozbawiony kompasu? Kto zdradził hasło publicznego dobra? Ani bohater, ani bohaterka. On wiódł życie cnotliwe, pracował dla nauki, z charakterem prawym i nieskalanym wstępował w życie samoistne. Jedynem przewinieniem było to, że zlekka, z całą świadomością durzył się w przymusowej swej małżonce. Prawdziwie nie kochał jej, nie szanował, dalekim nawet był od pokusy posiadania, a że ona w swym bezwstydzie, nie mogąc się doczekać tytułu hrabianki, zawitała do niego o północy i ciało swe ofiarowała — to nie jego wina. Jestem pewien, że najżarliwszy asceta podobnie łakomej ofierze nie oparłby się, ale postępek przyszłej nierządnicy zgoła do niczego, prócz wzgardy, nie obowiązywał go. Po co się z nią ożenił, kiedy tego ani sumienie nie wymagało, a względy światowe nawet odradzały — trudno pojąć. Skoro zaś uległ miękkiemu współczuciu, przyjęcie ponętnych kształtów mając za *swoje* poślizgnięcie i niezawisłości zrzekł się — więc przywrócił naruszoną równowagę i aż nadto powyższy postulat moralny uwzględnił. Po co go było karać śmiercią tragiczną?

Takąż samą krzywdę wyrządza autor Kseni. Inna na jej miejscu dawnoby wyzutą była ze wszystkich ideałów i poezyi— wiedza o zbrodni matki, o romansie siostry z sąsiadem, widok drugiego brata, żyjącego na sposób sułtański, przykład nihilisty — *à la* Hugo Schenk, z każdej jej rówieśnicy zrobiłyby panią Lais, czyli tę ciepłą wdówkę, która znała z blizka tylu urodziwych mężczyzn, wybranych czy to z pośród szlachty, czy ze służby kozackiej — ile jest nocy w roku, jeśli nie więcej. Ksenia pozostała na podziw niewinną. Tylko świętoszek mógłby ją potępić za pięć minut grzesznych, bo zresztą całe jej życie było pasmem męczeństw, poświęceń, niezaspokojonych tęsknot.

Gdy patrzymy na tę postać świętą, gdy przypominamy sobie, że mąż chciał być dla niej tylko ojcem i tarczą przeciw druzgocącym ciosom losu, że z głębi serca wybaczał jej miłość dla sławnego wieszcza, możemy tylko nie wierzyć w taki bezmiar uczucia i porywów szlachetnych i autorowi zarzucić zbytni idealizm — ale nigdy bohaterce wykolejenie. Gdyby p. Włodzimierz nie był jej zaproponował ślubu dla formy, gdyby ona macierz nie groziła klasztorem, albo wydaniem jej za pierwszego lepszego — nie byłoby wiarolomstwa. A więc nie rozdroże tu winno, nie odwieczne „być albo nie być,“ ale przebieg zewnętrznych czysto zdarzeń.

(D. n.)

N. H.

STROFY.

Pod tym tytułem wyszedł świeżo w Krakowie wdzięczny bardzo zbiorek wierszy, bądź okolicznościowych, bądź wydobytych ze stałych strun duszy ludzkiej. Książeczka ta, będąca „wydaniem pośmiertnem“ bezimiennego autora a dla czytelników tutejszych nieprzeznaczona, zawiera wiele strof pięknych, o których najlepsze damy wyobrażenie, przeniósłszy do szpalt naszych za pozwoleniem nakładcy małą z nich wiązankę.

Archeologia przyszłości.

Kiedy w przeszłości grzebiąc dalekiej,
Badamy jej tajemnice,
To nam zamarłe przynoszą wieki
Kamienne urny, łzawnice...

Lecz gdy w przyszłości badacz głęboki
W przepaście zejdzie bezdenne...
To zamiast łzawnic — z naszej epoki
Odnajdzie serca kamienne...

Jasnowidzenie.

Częstobym pragnął w sennem marzeniu
Oglądać dziejów oblicze...
Radbym przeniknąć w jasnowidzeniu
Przyszłości tło tajemnicze...

I gdy tak oczy światła spragnione
W prorocze zatapiam księgi...
Widzę słowiańskie dłonie złączone
Nad grobem pruskiej potęgi...

Sedan.

Gdy Francya padła — wrzask się rozległ długi...
Klęskę, jak tryumf witano...
Proporce gallów, cnoty i zasługi
W giermańskiem błocie zdeptano...

I gdy miecz pruski, dokazując cudów,
Dań krwi pobożną niósł Panu...
Postęp i wolność, wolność ludzka ludów,
Padły w wąwozach Sedanu...

Memento.

Ukaz banicyi z Berlina bieży,
Z wrzaskiem ogłasza go wróg...
Gromady starców, sierot, młodzieży,
Rodzinny rzucają próg...

Nie będą miejsca te opuszczone!
Niechaj przed niemi wróg drży!
Bo w owe progi osierocone
Wstąpią przekleństwa i łzy...

Jeszcze mało!

Los wojny — tryumf przyniósł wam w darze,
Miliardy dał za wyprawę,
Godło cesarstwa dał na sztandarze,
Walecznych przyniósł wam sławę...

Macie już lądy po całym świecie,
Odwieczny wróg wasz zdeptany...
Wam jeszcze mało! Jeszcze pragniecie
Obdartym zabrać — łachmany...

Obrońcy prawa.

Gdy setki rodzin gwałtu podmuchem
Z rodzinnych chat wyrzucono —
To sejm potężny milczeniem głuchem
Uświęcił ludzkość skrzywdzoną.

Lecz usta sejmu krwi zaszły pianą...
Lwia jego wstrzęsła się grzywa—
Gdy fiskusowi przysporzyć chciano
Drobnej akcyzy — od piwa...

Nemesis.

Odkryto w Boulak grób Ptolomeów,
Mumię Ramzesa i łoże...
Groźny ten władca — jeńców hebreów
Wygnał z Mojżeszem — za morze.

Szkielet wszechwładcy głów i toporów
Nemezys karci gniewliwa...
Gdyż wdzięczny Rotszyld — do swoich zbiorów
Mumię Ramzesa nabywa...

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Oddechy nienawiści. — List gen. Skobelewa. — Nowe tortury pruskie. — Żelazne pancerze i miedziane czoła. — Gdzie się podzieli wygnańcy. — Przyszła kolonia pod biegunem. — Polacy przekształcani na żydów. — Literacka działalność papieża. — Podziękowanie. — Do czego przyszło! — Coquelini i Coquelinki. — Fatalna pora dla teatralnych „konfliktów.“

Jeżeli ta nienawiść, jaka się obecnie dobywa z milionów piersi względem Prus, kiedykolwiek wyładuje swą siłę, historya nie przypomni sobie równego wybuchu zemsty w przeszłości. Trudno dziś istotnie znaleźć kącik w Europie, gdzieby to uczucie nie dyszało ciszej lub głośniej. Hiszpanie, francuzi, anglicy, polacy, rosyanie, węgrzy, częścią nawet niemcy — wszyscy, o ile nie muszą klamać, złorzeczą strasznemu Lewiatanowi i z najwyższą radością powitaliby jego zgubę.

„Niech nienawidzą, aby się tylko bali“— myśli i mówi ks. Bismark, gardzący—jak o tem wielokrotnie zapewnił swoich rodaków — miłością ludzką. Nie tryska też ona dla niego obficie. Natomiast gniew— niestety, bezsilny—bucha kłębami. Jestto zjawiskiem znamiennem i wielce pocieszającem, jak w tej odrazie porozumiały się z sobą najrozmaitsze narody i jednostki, jak ona zapala serca najodmienniejszej natury, jak brata najmocniej powaśnionych przeciwników. Żadne inne uczucie, żadna idea nie łączy dziś ściślej Europy.

Słynna pani Adam wywołała w swej *Revue nouvelle* cień Skobelewa, ogłosiwszy jego list i rozmowę. Generał, rzeczywiście,

jak świadczą ostatnie wypadki na półwyspie Bałkańskim, czytał w przyszłości dobrze. „Zanim dziesięć lat upłynie — pisał on — Bismark przygotuje nam na Wschodzie kłopoty, które nas powaśnią nietylko z Niemcami, ale z opinią publiczną całej Europy.“ Rozważywszy doświadczenia, fakty i możliwości, kończy on list westchnieniem: „Pragnąłbym— och, jak pragnąłbym! — zmusić niemców, ażeby lizali kurz pod mojemi stopami.“ W rozmowie dodał: „Niemiec jest wrogiem Francyi, Rosyi i wszystkich drobnych ludów w Europie.“

Tak brzmi mniej więcej przekonanie i język całego świata po za granicami kultu dla Molocha. Czy wobec tych szemrań, pogróżek i zgrzytów mogą kogokolwiek zadziwiać skargi i przekleństwa polaków, najbardziej przez gwałt pruski skrzywdzonych. Gen. Skobelew wyznał: „Błędem Rosyi było nie zdobycie Polski, ale jej podział i oddanie obcym. Polacy połączą się z nami przeciw Niemcom, nie uchybią swojemu instynktowi antigermańskiemu.“ Przez lat sto są oni w Prusach pastwą okrucieństwa nienasyconego. Życie narodowe nędzarzów gaszone tam jest w najdrobniejszych iskierkach, za winowajcę uważany każdy, kto teutońskiej skóry nie oblókł.

Znowu w Toruniu odbywały się dzikie sądy nad „przestępcami,“ których osłania tarcza „konstytucyi.“ Redaktora *Gazety toruńskiej*, p. J. Danielewskiego, oskarżono o „obrazę armii niemieckiej,“ gdyż—trzeba temu wierzyć! — zamieścił *tłomaczoną* z francuskiego *powiastkę*, w której opisane było stracenie pod Paryżem dwu francuzów, niechcących zdradzić tajemnicy swego wojska. „Winowajcę“ skazano na cztery miesiące więzienia.

Drugi proces wytoczono właścicielowi czytelni, p. Łukowiczowi, za cztery książeczki wydane w Warszawie, Poznaniu i Krakowie. Pierwsza z nich miała zohydzać wyznanie protestanckie, inne—przedstawiać krzywdy polaków w zaborze pruskim. Sąd w wyroku swoim przyznał, że opowiadanie krzywd „może być zgodnem z prawdą historyczną,“ ale ponieważ „przypominanie“ ich drażni namiętności, więc postanowił dziełko najgodniejsze kary skonfiskować. Omar nie był szczerszym w motywach swego wyroku, ale o tyle wyższym, że działał wcześniej i nie uważał się za „kulturträgera.“ Niemcy przytem nietylko zakuli się w żelazo, ale nawet dla odparcia pocisków wprawiają sobie miedziane czoła.

Gdzie się podziały ofiary ich prześladowców? Skazano na wygnanie przeszło 30,000 ludzi; do Królestwa przybyła bardzo maleńka gromadka; do Galicyi, do której zdawało się, wpłynie najliczniejsza masa, uciekło również stosunkowo niewiele. Według sprawozdania Komitetu krakowskiego, ogółem schroniło się tam 1890 osób. Przypuściwszy, że w innych miastach Galicyi osiadło tyleż i doliczywszy przybyszów tutejszych, nie otrzymamy jeszcze nawet czwartej części całego zastępu wygnańców. Gdzież więc zapadła większość? Wszędzie i nigdzie, rozproszyli się jak garść piasku na wiatry rzucona. Doniesiono ich w Anglii, Francyi, Szwajcaryi, Ameryce. Ta ostatnia musiała wchłonąć dużą falę, skoro władze znowu przymknęły rogatkę dla emigrantów a polacy amerykańscy ostrzegają swych rodaków w Europie, ażeby nie łudzili się nadzieją znalezienia łatwego zarobku w nowym świecie. Ażeby nie łudzili się!... Wąpię, czy śpieszą za Ocean z różowemi marzeniami. Jadą tam, bo gdzieś podziać się muszą. Gdy zbraknie miejsca w Stanach Zjednoczonych, spróbują odłamać kawałki ziemi plemionom dzikim. Zresztą przy biegunie północnym jest jeszcze dosyć przestrzeni, gdzie panuje mróz nie okrutniejszy od edyktów pruskich, gdzie załogi wypraw naukowych giną w lodach, ale landraci nie gospodarują; tam, śród białych niedźwiedzi, które nie znają środków wynarodowiania i chętnie podzielą się powietrzem z nowymi sąsiadami, lub śród eskimosów, niežałujących nikomu ryb i śniegu, można jeszcze osiąść bezpiecznie z wszelką religią, mową i obyczajami. Kto wie, czy za lat sto garść podróżników niemieckich nie spotka tam kolonii polskiej i nie skradnie jej kilku psów dla zaspokojenia głodu. Po powrocie za to do ojczyzny napiszą w *Nordd. Allg. Ztng.* artykuł o sieci intrygi polskiej, sięgającej aż do bieguna północnego.

Jeżeli Europa w polakach nie wychowa sobie żydów, przeszkodzi temu tylko nasza niezdolność do przemysłu i handlu, wogóle nasza niepraktyczność i marzycielstwo. Wprawdzie Biblia nie zaznacza w izraelitach rysów, które dziś w nich są wydatne i które mogły się wyrobić podczas ciężkiej walki o byt, ale polacy chyba do tego stopnia natury swojej nie zmienią. Nie ulega jednak wątpliwości, że losy i warunki życia będą ich wpychały na tę kolej. Rozproszeni, prześladowani, ograniczani w prawach, zmuszani do przeciskania się przez szczeliny, do używania wszelkich środków obronnych, wsiąkną w najrozmaitsze społeczeństwa, częściowo upodobnią się do nich, wynajdą sposoby obchodzenia zawad— ale czy zachowają swoją odrębność, czy piastować będą we wspomnieniach i marzeniach ideały rodzime? W każdym razie, jeżeli kiedykolwiek doczekają się własnego Stöckera, który ich zechce wygnać do Palestyny polskiej, proszę moich potomków, ażeby o to na niego się nie gniewali.

Współczesnych zaś namawiam, ażeby nie żałowali grosza, którego odmawiają książkom i pismom polskim, dla wydawnictw papieskich. Leon XIII bowiem zamierza rozwinąć szeroką działalność literacką. Wydał zbiór swoich rymów, zakłada w Watykanie biuro prasowe i dziennik narodowy, a pomimo zaprzeczeń, mają wyjść jego pamiętniki, spisane przez jakiegoś księdza. Autor i wydawca, który ocierając jedną ręką łzy nad polakami pruskimi, drugą przypiął order do piersi ks. Bismarka, zasługuje na to, ażebyśmy go poparli. Dziwi mnie nawet bardzo, że dotąd na rymy papieża nie znalazł się jaki tłómacz i nakładca. Książka ta powinna być przyswojona literaturze polskiej, jako najdroższa pamiątka po Ojcu św., który taką pieczołowitością otoczył swoje dzieci polskie.

Może *Przegląd katolicki* mi nie uwierzy, jednak czuję szczerą wdzięczność dla Leona XIII, bo, zdaniem mojem, nikt bardziej od niego nie przyczynił się u nas do chwały i tryumfu godeł postępowych, nikt mocniej nie uderzył w mur ultramontanizmu. Wszystkie nasze artykuły i rozprawy, wszystkie dowody nie wykazały tak kruchości podstaw socyologii klerykalnej, nie wydobyły fałszu z polityki opartej na papizmie, jak braterski sojusz Leona XIII z Bismarkiem. Wystąpiła w całem świetle prawda, że Watykan jest. a przynajmniej chce być instytucyą polityczną i odzyskać swoją władzę świecką, a o współwierców swoich dba tylko wtedy, gdy oni mu w tem dążeniu nie przeszkadzają. Pius IX nie zdradził takich celów i dla tego go karmił ulubną wiarą naszych ultramontanów, jego następca odkrył karty, obnażył grę — za co składamy mu serdeczne dzięki.

Żyjemy w okresie polityki — tą więc barwą pociąga się dzisiaj każde rozmyślanie, a więc i moje w tej kronice. Inne sprawy zajmują nas tyle, co szmer muszy podczas snu. Zagadnienia naukowe i artystyczne rozgrzewają zaledwie dziwaków. Jestem pewien, że gdyby nawet „pierwsza naiwna“ naszego teatru podała się do dymisyi, nie zdołałaby już tem zelektryzować ogółu i co najwyżej przeraziłaby swą klakę. Ale czasy się zmieniły wszędzie. Przed rokiem jeszcze p. Coquelin, który umie lepiej od innych udawać na scenie, swoim zatargiem z komedyą francuską trzymał cały Paryż w niepokoju. A dziś? P. Coquelin dalej grymasi i dmucha w ogień swej waśni, ale już nikogo nie wzrusza; co więcej, fejletonista *Figara* oświadcza mu wyraźnie: Nie nudź nas pan swoimi dąsami i wędruj gdzie ci się podoba; Francya nie opiera się na aktorach i po panu płakać nie będzie; już czas, ażeby tego rodzaju bohaterowie przestali zajmować uwagę publiczną.

Cudowne *verba veritatis* a przytem charakteryzujące porę. Jeszcze przed pięciu laty nawet Wolff z *Figara* nie śmiałby dać takiej lekcyi Coquelinowi, którego wędrówkę po Europie roztelegrafowywano szczegółowiej, niż podróż Tiszy. Czasy się zmieniły!

Ponieważ zaś wiatr zwrócił się w inną stronę i u nas, radzę więc wszystkim naszym Coquelinom i Coquelinkom, ażeby, jeśli mają w pogotowiu jakieś „konflikty,“ wstrzymali się z nimi do lepszej pory. Teraz tym środkiem trudno byłoby zbudzić „powszechny żal“ lub „nadzieję, że sprawa zakończy się pomyślnie.“ Niech „gwiazdy“ poprzestają na buletynach o ich chorobach, wyzdrowieniu, urlopach, pobytach za granicą i powrotach. Smutne to zwłaszcza dla bohaterek teatru (bohaterowie jedynie wyjątkowo uprawiają „konflikty“), ale cóż robić!

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Treny pseudo-idealistów. — Co o nich mówi rzeczywistość. — Jak na nie patrzą idealiści szczerzy. — Sprawy miast i miasteczek. — Czem się opłaca oszczędność na robotnikach. — Coby zyskał książę Józef Poniatowski, gdyby był tonkińczykiem.

„Stajemy się narodem *procederzystów*, tracimy zdolność do poświęceń i zapału dla idei, pogrążamy się coraz głębiej w apatyi, a winni temu wszystkiemu apostołowie hasła: *wiedza to potęga*, którzy wychowują społeczeństwo w szkole miłości własnej, zamiast po dawnemu, w szkole miłości ideałów.“ Taką skargą jęknął w przedostatnim numerze zbolały organ „młodych“ konserwatystów, *Niwa*, w zasadniczym artykule p. t.: „Na bezdrożu.“

Nie jestem upartym. Prawda, że rozpatrując się w społeczeństwie naszem, wcale inne spostrzegam objawy. *Procederzystów* brak widzę w ogromnej większości procederów i to najważniejszych. Rolnicy nasi nie wiedzą, ile ich kosztuje korzec pszenicy. Studya nad lasami dokonywają się— przy karczowaniu. W sprawie hodowli bydła najbardziej podstawowe pytania czekają na rozstrzygnięcie: czy hodować? w jakich warunkach? jakie gatunki? Przemysł fabryczny cały niemal spoczywa na barkach przybyszów mniej więcej świeżych. Rzemiosłom naszym brak wszelkich środków posuwania się naprzód, brak szkoły rzemiosł, brak wystaw rzemieślniczych, mogących nietylko wytwórców ale i spożywców obeznać z wymaganiami lepszemi, brak stypendyów rzemieślniczych, słowem brak tego wszystkiego, co proceder podnieść by mogło. Naodwrót idealne kierunki znajdują ciągle najżywsze współczucie. Alboż zmniejsza się liczba ofiar na cele miłosierne i liczba tych, którzy z miłosierdzia żyją? Czy wpływ duchowieństwa słabnie? Czy gorliwy ksiądz nie robi cudów prawdziwych? nie tępi opilstwa, nie gromadzi bogatych ofiar na pobożne cele? Czy w programie wychowania domowego przedmioty idealne: muzyka, poezya, ustępują miejsca utylitarnym: hygie-

nie, praktycznemu przyrodoznawstwu, buchalteryi domowej itp.? Biorę do ręki wielki dziennik tutejszy, cóż tam znajduję? Dwie trzecie albo i trzy czwarte tekstu wypełnia polityka, teatr i powieść, zatem bądź sprawy narodów, bądź sprawy ogólno-ludzkie. Zważmy, że pisma te stanowią codzienną, a często nieledwie że jedyną strawę ogromnej liczby czytelników. Pisma prowincyonalne są znowu wiernem odbiciem warszawskich.

Z jakich zalet rośnie za granicą sława nasza? W objawach zbiorowych zyskujemy rozgłos walkami toczonemi przeciw prusacyzmowi w obronie religii i narodowości; w objawach jednostkowych—malarstwem i tańcem. Nie jesteśmyż idealni do ostatniej sprzączki? Wyliczając rozmaite *idealne* pierwiastki, tak potężną rolę grające w naszem społeczeństwie, napotykam wprawdzie między niemi szczerbę ogromną — ale jak naprzekór, tam właśnie, gdzie *Niwa* upatruje ich nadmiar. Nie mogę znaleźć u nas przeważnych zastępów przedstawicieli *potęgi wiedzy*, jakoby wychowujących nowe społeczeństwo w „miłości własnej." Niestety, liczba tych przedstawicieli maluchna, wpływ ich zaś na sprawy społeczne da się raczej na podstawie ogólnych zasad mechaniki wywnioskować, niżeli namacalnie ocenić. Wina tego braku leży przeważnie na smutnych warunkach, lecz może w części i na agitacyi „rzekomo idealnej," blisko pokrewnej z kierunkiem przedstawianym przez *Niwę*. Oskarżenie moje wypowiedziałbym zapewne bardziej stanowczo, gdybym był sumieniem naszych apostołów rzekomego idealizmu, gdybym donośnym głosem wydzwaniać im umiał w ciszy i samotności o każdym zapale dyletanckim do nauki, który ich krakanie zgłuszyło, o każdem przez nich stłumionem współczuciu dla postępu „rzeczywistego." Ten dyletancki zapał, to współczucie ogólne, gdyby nie były systematycznie odwracane, możeby się wyraziły w postaci zwiększonych ofiar na podniesienie nauki, na teoretyczne badania, na laboratorya, muzea, biblioteki, popularyzujące odczyty. Ale właśnie tę gałązkę idealności naszego narodu wzięli pod opiekę „idealiści rzekomi," nasze podpory „tradycyi historycznej," którym najlepiej życząc, tego chyba życzyć należy, aby o nich przyszła tradycya historyczna... zapomniała.

Nie jestem upartym, rad uznam błąd mój. Niechby tylko przywiedziony *zasadniczy* artykuł *Niwy* zamiast być stągiewką frazesów, stał się zapowiedzią szeregu poważnych i przekonywających studyów społecznych. Natomiast cóż się stało? Oto w następnym zaraz numerze, p. A. G., którego *Niwa* sama za wzór obywatelskości w swych „Sprawach bieżących" postawiła, w odpowiedzi na artykuł "Na bezdrożu" drukuje rzecz pod tytułem: „Niekoniecznie na bezdrożu" i przekonywa, że społeczeństwo „powinno składać się z procederzystów," że „co prawda, byliśmy przed laty na wszech polach specyalnych po największej części niedołężni," że „na polach pozytywnych było bardzo wiele do zdziałania i dzięki też w znacznej części usiłowaniom młodzieży, przed laty podjętym, zmiana na lepsze nastąpiła bez zawodu." P. A. G. dowodzi wprost, że negacya potrzebną jest i pożądaną. I międzyinnemi przypomina, że hasło: „precz z marzeniami! pracujmy, kształćmy się, materyalne gromadźmy bogactwo!" dawniejsze jest, niżeli postępowy zwrot w naszem społeczeństwie, gdyż postawili je przeszło trzydzieści lat temu ci właśnie, którzy, jak artykuł *Niwy* powiada, wzrastali w szkole miłości ideałów.

Nie dość na tem; *Niwa* z prawdziwym zachwytem drukuje list korespondenta swego z *Nurczyka*, dowodzący, że teorya bardzo zbliżona do darwinizmu była na wiele lat przez rozgłoszeniem nauki Darwina wykładana młodzieży naszej z trzytomowego podręcznika uniwersyteckiego do zoologii, napisanego przez Eichwalda i drukowanego w Wilnie w latach 1827—9, a przecież ona społeczeństwa nie zwichnęła. Co ciekawsze. W tym samym numerze p. Waliszewski, korespondent z Paryża, wydrwiwa najprzód za arystokratyczne dążności pensyonat żeński świecki, na którego podwórko przez szparę w murze zajrzał i widział, jak panny w wieku od 12 do 18 lat uczyły się wykwintnie wsiadać do powozu, jak jedna z nich pokazała drobną nóżkę, a inna, podług orzeczenia guwernantki, miała minę gęsi pokazującej (co? korespondent nie objaśnia) całemu kurnikowi (*vous avez l'air d'une oie, qui montrait au poulailler*). Potem zaś do szkół katolickich przeszedłszy, p. Waliszewski bez ogródki mówi, że one we Francyę ducha katolicyzmu nie wlewały, kiedy ich było dużo i nie wleją dziś, kiedy ich jest mniej. Kościoły paryskie opisuje jak *procedery handlowe*, w których się przepych sprzedaje. „Tyle za krzesło przy ołtarzu, tyle za aksamitne." „Widziałem—pisze— w kościele św. Magdaleny, w dzień powszedni (a zatem nie wtenczas, kiedy znakomici śpiewacy zwabiają do kościoła swemi występami bogatą i korzystną klientelę) ubogą kobietę, odprowadzoną od ołtarza przez szwajcara, jako *niedość elegancko ubraną!*" (podkreślono w oryginale). „Prawda, że szwajcar ów miał na sobie mundur, który, z jedwabnemi pończochami, szpadą i halabardą rachując, musiał kosztować 2,000 franków."

Wszystkie te rzeczy drukuje *Niwa* bez mrugnienia. Czy się z nich czego w przyszłości nauczy i zejdzie z „bezdroży," to chyba jej samej wiadomo. Tymczasem wszakże, jak „Uparta żona" w bajce Mickiewicza, której

„...ciało było w życiu dziwne,
Zawżdy wszystkiemu przeciwne,
I domyślać się mam pewne powody,
Że popłynęła z rzeką przeciw wody" —

podobnie w „Sprawach bieżących" *Niwa* konkluduje:

„Stajemy w obronie ideałów, bo społeczeństwo nasze nietyle z procederzystów, ile z obywateli złożone mieć chcemy."

Utyskiwania na liczne hufce procederzystów i fachowców, zalewających społeczeństwo nasze, przestają robić wrażenie naiwnych i niewinnych żartów, gdy rzuciwszy okiem gdziekolwiek, ujrzymy szkody, jakie ponosimy z braku specyalistów. *Gazeta radomska* niedawno wytknęła jeden drobiazg: haniebną gospodarkę w lasach miejskich. Bardzo wiele naszych miast i miasteczek posiada grunta i lasy. Nauka wskazuje w lasach bardzo ważny czynnik klimatyczny, którego brak spowodowywa zmiany wielce niekorzystne. Wszelako lasy, będące w rękach prywatnych, nie posiadają rękojmi trwałości. Lada okoliczność może spowodować ich wycięcie. Otóż społeczeństwu zależy na tem, aby przynajmniej lasy miejskie i gminne były otoczone troskliwą opieką. Z przytoczonego wystąpienia *Gazety radomskiej* dowiadujemy się, że opieka podobna do zakresu *życzeń* należy.

Już to wogóle sprawy miejskie niesłychanie mało są znane ogółowi. Co roku np. bywają układane i zatwierdzane budżety miast i miasteczek. Nastręczają one dużo materyału ciekawego i pouczającego. Niekiedy spotykamy w nich prawdziwe *curiosa*, np. po kilka kopiejek na pogrzeb urzędników magistratu. Jedne i te same potrzeby w jednem mieście uwzględniane są na szeroką skalę, w innem — pomijane zupełnie.

Zainteresowanie temi rzeczami szerszych kół czytelniczych byłoby zasługą pism, zwłaszcza prowincyonalnych; mam przyczynę wątpić, aby działalność publicystyczna w tym kierunku napotkała poważne przeszkody. Gdybyż idealne dążenia nie zaprzątały nas zbytnio!

Niedawno słyszałem jednego z idealistów, który, przeczytawszy w *Kuryerkach* wiadomość o dobrowolnem zgodzeniu się robotników jakiejś fabryki tutejszej na zniżenie im płacy o trzecią część, zawołał: „Ciekawa rzecz, dla czego inne fabryki nie idą za tym przykładem. Przecie żadna dziś nie stoi świetnie." Owszem, kochany panie, ten pomysł nie jest u nas nowy bynajmniej. Ale czy pan pojmujesz, co znaczy obciąć trzecią część budżetu naraz całej gromadzie ludzi? W Szwajcaryi czynne są stowarzyszenia wzajemnej pomocy na wypadek choroby. Otóż interesującem jest uczynione przez jedno z tych towarzystw spostrzeżenie, że „każde zmniejszenie płacy rocznej zwiększa ilość chorych, wspieranych przez towarzystwo." Zdanie to przytacza inspektor fabryczny H. Etienne w swem sprawozdaniu za rok 1884 i 1885. Powtórzyło je *Zdrowie* w korespondencyi z Zurychu.

Toż samo pismo, podając streszczenie rozprawy o przyczynach ślepoty i jej zapobieganiu, przez prof. Fuchsa (1885 r.), wymienia szereg względów, które bierze w rachunek zagranica, mniej od nas idealna, żeby najcięższemu fizycznemu kalectwu ile możności zapobiedz. Budowniczowie troszczą się tam o wysokość domów w stosunku do szerokości ulic, o wysokość okien w stosunku do głębokości pokojów, o to, aby dolna krawędź okna nie była niższą, niż stolik do pracy, gdyż światło z dołu idące razi w oczy. Pedagogowie zalecają obeznawanie rodziców z ławkami wzorowo zbudowanemi i zachęcają do kupowania ich dzieciom na domowy użytek.

Nas może przyszła wystawa hygieniczna objaśni, jakie różnice zachodzą pomiędzy ławką dobrze i źle zbudowaną i coby taki sprawunek zwykłego śmiertelnika kosztował.

W postaci plotki dochodzi mię wieść, że niektóre miasta nasze mają wysłać na tęż wystawę zbiorniki swego ulicznego powietrza z bardziej ożywionych punktów. Czyby sąsiadująca z nami cholera miała do tego popisu nakłonić?

Na zakończenie podzielę się z czytelnikami wiadomością przyjemną i autentyczną.

Tworzy się zgromadzenie uczonych, których zadaniem będzie, pomiędzy innemi, wyszukiwanie i gromadzenie wszystkiego, co dotyczy kraju, konserwacya pamiątek, zaznajamianie ogółu z wiedzą nowożytną i postępem cywilizacyi, zakładanie bibliotek po znaczniejszych miastach, śledzenie wyników prac, podejmowanych przez specyalistów, a dotyczących kraju itp. itp.

Szkoda, że wszystko to będzie dosyć daleko od nas, bo w Tonkinie, że tyczyć się będzie Tonkinu, tonkińskich pamiątek; szkoda, że np. pomnik ks. Józefa Poniatowskiego, rozpadający się w Lipsku, nie znajdzie się pod tonkińską opieką.

Wspomniane towarzystwo tonkińskie zawdzięczać będzie swe istnienie p. Pawłowi Bertowi, rezydentowi, ustanowionemu przez rzeczpospolitę francuską.

K. Zbrucki.

POD MIKROSKOPEM.

Te persony, których tu widzicie bez liku,
Przedstawiają polskiego historyę sejmiku:
Narady, wotowanie, tryumfy i waśnie.
Sam tę scenę odgadłem i państwu objaśnię.

Mickiewicz.

I.

„Człowiek— według Konfucyusza — ma trzy drogi mądrego działania: pierwsza przez namysł — ta jest najszlachetniejsza, druga przez naśladowanie — ta jest najłatwiejsza, trzecia

przez doświadczenie — ta jest najbardziej gorzką.“ Komitet, mający wznieść pomnik Mickiewiczowi, przekonał się o tem dowodnie. Przyznać trzeba, że naprzód spróbował drogi „najszlachetniejszej;“ wszakże rozmyślając długo, wymyślił — Dykasa. Następnie zwrócił się na „najłatwiejszą,“ poprosił Matejkę o wzór do naśladowania — i zagrzązł w kłopotach. Wreszcie, doświadczywszy swej niemocy, wybrał „najbardziej gorżką:“ odstąpił wszystkie mandaty jednemu „mężowi sytuacyi.“

Historya nie zna tak szczerej, zgodnej i dobrowolnej przemiany rzeczypospolitej na jednowładztwo. Ani śladu intryg, sprzysiężeń, namów! Gdy dr Jordan podawał koronę Cezarowi-Zyblikiewiczowi, hr. Potocki aż się przeraził, spostrzegłszy, iż mimowoli może swą postacią rzucać cień Brutusa, chociaż p. Ożóg, jak Kasyusz, zdawał się mu szeptać: „głos twój słuchany będzie przy rozdziale nowych godności.“ Nie, koronacya odbyła się całkiem inaczej, niż w dziejach tragedyi Shakespear'ea. Cezar, nie rzekłszy nawet: „oszczędzajcie kolan“ — opuścił przed głosowaniem salę, upewniwszy może kornych wielbicieli, że nie ma „do tego stopnia krwi łaskotliwej, iżby jej obieg miał być przyspieszony tem, co ją wzrusza w niedołężnych sercach.“ Dr Zyblikiewicz wie, że jest „gwiazdą polarną“ Galicyi. Nie nad zwłokami Cezara, ale przed jego posągiem sławił wielkość władcy Antoniusz - Koźmian, wykazując konieczność i mądrość dopełnionej elekcyi. „Niech postanowienie komitetu — mówił szanowny mąż — wyrazi tę myśl, ten zamiar *bez zastrzeżeń*, a postanowienie będzie tem *czerstwiejszem*... Jak *w wielu* sprawach ludzkich, tak i w tej nadeszła chwila, w której potrzeba *dyktatury*... Dyktaturę zatem witam, jako rzecz w tym wypadku rozumną, użyteczną i prowadzącą do celu, a wyprowadzającą w danym razie z manowców.“

Lud komitetowy ani razu nie zaszemrał.

Natomiast pomrukiwać zaczął lud dziennikarski. Co? — wy? — zawołał szyderczo organ patrycyuszów galicyjskich i omal zuchwałym nie odczytał ustępu ze *Zbójców* Schillera. „Znowu włażą jak szczury na maczugę Herkulesa. Ksiądz francuski uczy, że Aleksander był tchórzem, suchotniczy profesor przy każdem słowie przytyka sobie flaszeczkę z amoniakiem, wykładając o *sile*. Zuchy, co mdleją spłodziwszy chłopca, nicują taktykę Hanibala.“

Co znaczy ta „dyktatura“ i wzgarda?

Prawda ucieszyła się również stopieniem 20-kilku mózgów w jeden; ale sądzę, że ucieszyła się tylko nadzieją pewniejszego skutku. Widziała wiele jaj, na których siadywało stado kur i które się nie wylęgły, więc chętnie przyjęła jedną. Ale czy objaw ten, występujący często i w różnych sprawach, rozzielenia nam tak głowę, jak krakowskiemu Antoniuszowi?

Podłóż pod mikroskop naszą tkankę duchową, zawsze w niej znajdziesz zwyrodniałą komórkę indywidualizmu. Każdy z nas jest dla siebie światem całym, narodem, ojczyzną. Co w nasze „ja“ się nie mieści, co doń zupełnie nie przylega, to powinno być odrzuconem. Osobnik w innych gromadach—to bryła kamienna, którą społeczeństwo, według ogólnego planu budowy, opiłuje, ociesze i w fundament, w ścianę lub sklepienie wmuruje. Co by się stało, gdyby każdy kamień chciał pozostać we własnych kształtach? Runąłby gmach, jak runął nasz przed 100 laty. Zachowujemy swoje jednostkowe postacie, ale też nie tworzymy budowy, tylko bruk, w którym każdy kamień nie przylega do sąsiedniego, przedziały zasypane piaskiem, a całość zabita ciężkim tłukiem. Po przejściu ładownych wozów, w bruku tym okazują się wyboje, na których dwukrotnie przewróciła się fura z pomnikiem Mickiewicza. Szept za szeptem spadał z piór i języków, roznoszono wieść o intrygach, postanowieniach „z góry ukartowanych,“ o sądach stronnych i niezgodach. Niemal każdy członek komitetu wyłączał sobą innych, zamiast ich dopełniać. Nikt nie chciał się ociosać według wymagań ogólnego zdania, lecz świecić jak nietknięty i nieoszlifowany dyament. Albo jesteś mojem echem, alboś zły i głupi jak żmija. „Wielki człowiek — powiada Lessing — winien posiadać dwa przymioty: drobiazgi uważać za drobiazgi, a rzeczy ważne za ważne.“ Co ten żyd plecie? Bismark uważa obelgę praczki za rzecz ważną i wytacza jej proces—a mimo to wielki! Czemużby najmniejszy z nas miał zrzucać ze swej szali drobiazgi? Na stole leży powinność względem kraju, którą ja spełnić mogę w zgodzie z towarzyszami; ale jeden z nich ugryzł mnie niegdyś w pochodzenie— z nim nawet kraju nie zbawię — tak mi dopomóż panie Boże i wszyscy święci, urządzający konfederacye!

„U niemców —według Kanta—gieniusz idzie w korzenie, u włochów — w koronę, u francuzów — w kwiaty, u anglików — w owoce“ — a u nas? Znakomity ziomek tego filozofa wyrzekł: „jedną znam tylko hańbę na tej ziemi— wyrządzanie krzywdy.“ Boję się więc odpowiedzieć na powyższe pytanie krótkiem słowem, ażeby nie skrzywdzić mojego narodu. Sądzę wszakże, że jego geniusz nie poszedł w spoistość. Włókna naszego pnia rozłażą się jak łyko, i jeżeli *Prawda* — jak owa staruszka, która wybiwszy muchy w swej izbie, wybijała je na ulicy, pracując lekko, ale ciągle — tępi w tym pniu robaki starych nałogów, robi dobrze. Antoniusz-Koźmian praktycznie ma słuszność, że w sprawie pomnika dla Mickiewicza „nadeszła chwila, w której potrzeba dyktatury,“ ale jak ta dyktatura nas zawstydza, jak ona patentuje niemoc naszych przedsięwzięć zbiorowych, naszych sejmików! Ale

Oto nowy marszałek na ręku stronników
Wyniesion z refektarza. Patrz, jak szlachta—braty
Rzucają czapki, usta otwarli — wiwaty!

A żony „przekreskowanych“ mdleją. I pewnie mdleją. Bo choć posłowie w „dyktaturze“ ujrzeli zbawienie i obdarzyli nią najgodniejszego, wielu w duszy uważało się za równie godnych.

Wszystkie nasze tradycye mają być upostaciowane w pomniku Mickiewicza. Więc będzie tam i sejmikowa niezgoda?...

II.

Jeszcze nie mogę zawołać: „Oktawiuszu, osiągnąłeś!“ ale już powinienem zaznaczyć, iż *Głos* zaczął „podporządkowywać interesom ludu interesy warstw odrębnych“ — o tyle, że w następnych numerach nieco więcej nim się zajmuje, a nawet wyznaczył konkurs na „wzorową monografię gminy polskiej.“ Konkursy dziennikarskie należą już dziś do tych środków, w których — mówiąc językiem *Głosu* — wydawca „zasłania sobą redaktora“, a w obecnym wypadku tembardziej, że wyznaczony został przez ludzi, którzy przystępując do „podporządkowania,“ dzieje gminy polskiej znają zapewne „wzorowo.“ Ale dobrym chęciom nie należy nigdy zakładać na szyję pętlicy. Mieszaj sobie, chemiku społeczny, najdziwniejsze ciała, abyś tylko z nich otrzymał gaz żywiący i krzepiący płuca narodu. Istotnie, ludem zajmowaliśmy się zbyt mało, nie chcieliśmy uznać, że on jest — jak mówi Lamartine — „sercem kraju, które dość poruszyć, ażeby zeń wydobyć skarby bezinteresowności, poświęcenia i odwagi.“ Za Seneką powtarzaliśmy tylko „nie ma nic wstrętniejszego od usposobień motłochu.“ Z konkursu, czy nie — historyczny obraz gminy polskiej będzie chwalebny i pouczający. Należałby on do owych rzadkich wypadków, które — według Shakespeare'a — sprawiają przyjemność największą. Kto go nakreśli? Czy jeden z tych, którzy „nie mają gdzie pisać?“ Wątpię.

III.

Właśnie „jeden z tych“ znowu obrał sobie moje serce za urnę łez swoich.

— Wszędzie tłok — mówił — nigdzie docisnąć się nie można.

— A gdybyście też panowie — zapytałem — zupełnie pisać przestali?

Hero, opowiedz Zeusowi, jak mnie zdruzgotał piorunowym spojrzeniem zagniewany Sarpedon; twój małżonek nigdy mnie już gromem nie uderzy.

Groźnie „na łydach okuty“ rzucił zapewne moją radę w błoto, ale ją ktoś podniósł bo oto czytam w *Kuryerze*:

„Pan X. doktór filozofii i znany publicysta wyjeżdża do Konstantynopola, jako przedstawiciel fabryki wyrobów platerowanych.“

Czybym ja go wygnał do Konstantynopola? Patrzę w oczy literaturze: nie płacze. Obojętna, czy spokojna?

Gezyasz *).

KRONIKA BIEŻĄCA.

P. Konopka w drugim wieczorze deklamacyjnym wypowiedział *Maryę Stuart* Słowackiego i trzy akty *Hamleta*. Oba utwory wyszły szczęśliwie, o ile artysta nie wpadał w przesadę i nie odbiegał od tonu naturalnego. I tym razem wiele przyjemności słuchaczom zapewnił.

P. Gutowska z Ruchocina w Poznańskiem, pomimo najszczerszej chęci, nie mogła sprzedać swego majątku niemieckiej komisyi kolonizacyjnej, gdyż kupiec, który poprzednio nabył od niej część lasu, zażądał zbyt wiele za odstąpienie praw swoich. Biedna ta „czcigodna matrona.“

Dwaj obywatele poznańscy, hr. Czapski i Kaczkowski, protestują przeciwko wieści, posądzającej ich o sprzedaż majątków niemcom. Pierwszy zbył tylko coroczny wyrąb drzewa, a drugi — nic.

Instytut technologiczny w Petersburgu zamknięty został na czas pewien z powodu zaburzeń studenckich.

Odczyty popularne dla rzemieślników rozpoczną się niebawem. Będzie ich 24 P. J. M. Kamiński zamierza mówić o wychowaniu i o geografii przemysłowej, p. A. Głowacki (B. Prus) o logice, p. E. Swieżawski o cechach, p. Nałkowski o geografii fizycznej, p Zieleziński, Wojno i Łęcki o mechanice i maszynach pomocniczych, p. Dobrzycki o hygienie, p. J. Siemiradzki o tworzeniu się ziemi i p. Diehl o rysunku technicznym.

Nową wyprawę do Afryki przedsiębierze p. Rogoziński. Myśl powstała odrazu i obwieszczona została narodowi za pomocą depeszy. Ciekawa to będzie „wyprawa naukowa,“ której projekt rodzi się w chwili natchnienia,

Ciekawy proces. Na rzecz kościoła katolickiego w Pratulinie gub. siedleckiej, właściciele tego majątku obowiązani byli płacić roczną daninę. W 1876 r. kościół został zamknięty, „ponieważ wywierał wpływ szkodliwy na okoliczną ludność prawosławną.“ Od tegoż czasu właścicielka Pratulina p. Dębowska przestała płacić daninę. Prokuratorya wystąpiła z procesem, twierdząc, że opłata coroczna winna być uiszczaną na rzecz parafii prawosławnej, założonej w Pratulinie w 1882 r. zamiast parafii katolickiej. Sąd okręgowy siedlecki i Izba warszawska wydały wyrok, zasądzający pretensye skarbu, obecnie jednak Senat wyrok ten skasował.

Suma wszystkich papierów wartościowych, wypuszczonych przez rządy, wynosi 52,8 miliardów, przez instytucye kredytowe i przemysłowe 47,7 miliardów. Stosunek ten oświeca należycie obecne przesilenie ekonomiczne.

Szkoła handlowa dla kobiet ma być otwarta w Warszawie od nowego roku, nie wiadomo tylko, czy kalendarzowego, czy szkolnego.

Grobowiec Słowackiego w Paryżu na cmentarzu Montmartre opuszczony jest zupełnie i zrujnowany. Odnowienie wymagałoby niewielkich kosztów, na pokrycie których zdobędzie się chyba ofiarność publiczna.

Opłata patentów od karczem i szynków wiejskich zniżoną będzie od Nowego Roku, ponieważ liczba tych zakładów zmniejsza się, przez co uszczupla się dochód skarbu.

Zakłady naukowe prywatne z rozporządzenia kuratora okręgu warszawskiego stosować się mają do wszystkich przepisów, obowiązujących w szkołach rządowych.

Doskonały mężczyzna według prof. Huleya ważyć powinien 155 funtów, z których 69 przypada na mięśnie, 54 na kości, 28 na tłuszcz, 3 na mózg i 7 na krew. Serce winno uderzać 75 na minutę, oddychać zaś w tym czasie ma tylko 15 razy.

Konkurs Czytelnicy *Tygodnika ilustrowanego* z trzech nowelek wybrali znaczną większością głosów (1,724, dwie inne zaś 421 i 353) „Wydaloną,“ której autorką jest p. Zofia Kowerska.

*) Skąd ten dziwny pseudonym? — zapytało redakcyę kilku ciekawych. Nie mam prawa okrywać się całem nazwiskiem *Hegezyasza*, ale mam chęć podpisywać się jego kawałkiem.

Bibliografia. Erazm Majewski; *Koniec świata*, przegląd wypadków, mających sprowadzić zagładę ziemi. Warszawa.

— Maksymilian Thullie *Podręcznik sta[illegible]ki budowli*. Lwów.

Socyologia Gumplowicza wyjdzie wkrótce kosztem Spółki Nakładowej.

Wundt w dalszym ciągu swych prac filozoficznych wydał *Etykę*.

Kalendarz „Wieku.“ Nakładem współpracowników *Wieku* wyszła książka, wznawiająca dobre tradycye kalendarzy Jana Jaworskiego i astronomicznego. Dodatnią jej stronę stanowią bogate działy sprawozdawczy i informacyjny. W pierwszym z tych dwóch działów artykuły o zmianach prawodawczych, postępach w naszem rolnictwie, przemyśle fabrycznym, gospodarstwie społecznem, o naszej działalności literackiej i o teatrze — każą żałować opuszczenia sprawozdań o ogólnych postępach naukowych i technicznych i o działalności naszej w dziedzinie muzyki, malarstwa, rzeźby. Po za temi usterkami *Kalendarz Wieku*, obfitujący w mnóstwo wiadomości, zazwyczaj pomijanych a ważnych i często niełatwych do znalezienia, pocześne miejsce zajmie w naszej literaturze kalendarzowej.

Nouvelle Revue sprzedane zostało przez panią Edmund Adam p. Cyonowi, izraelicie rosyjskiemu, b. profesorowi akademii medyko-chirurgicznej, który przed [illegible] laty, wskutek zajścia ze studentami, zmuszony był podać się do dymtsyi.

Kopalnie siarki w Czarkowej, należące do najobfitszych w Europie, zostały porzucone przez właścicieli, ponieważ produkt nie znajdował zbytu w ilości, opłacającej koszta przerobu. Nakłady na budynki i maszyny wynosiły około 200,000 rs. Tymczasem w państwie rosyjskiem nie ma znaczniejszych kopalni siarki i produkt ten sprowadzany bywa dla wyrobu prochu aż z Sycylii.

Zmarli. Henryk Trolle, powieściopisarz szwedzki, przez jakiś czas mieszkał w Warszawie i w niektórych utworach swych przedstawia społeczeństwo polskie.

— Michał Chomiński, utalentowany aktor w rolach komicznych i rodzajowych, jeden z najstarszych artystów sceny polskiej.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Krzyż. w Warszawie. Tak — 10%.

P. M. Topols. Chce pozostać bezimiennym.

P. Pronisł. Ch. Niech Pan uzyska polecenie od kolegów, którzy tem się zajmują dla nas.

Abonentce. Chodźki.

P. T. Dębs. Odpowiedź Pańska opiera się na niedokładnem przeczytaniu artykułu.

S. C. Rubryka ta należy wyłącznie do pierwszego jej autora, który ten sam przedmiot z innej strony poruszył.

L. L. Zamieścimy, gdy znajdziemy miejsce.

A. Z. w Krakowie. Słabe.

OFIARY.

Na wpis dla uczniów. Bezimiennie rs. 8; w rocznicę śmierci J. K. od siostry i ciotki rs. 2; bezimiennie rs. 2; W. B. z Lebedyna rs. 10.

Ogłoszenia.

Na Wystawę Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem przybyły następujące nowe dzieła sztuki, a mianowicie, obrazy: F. Ciechowskiego „Kwiaciarka,“ „Sielanka,“ „Na pacierzach,“ „Pensyonarki,“ „Muzyk.“ M. Trębacza: „Żebrak pod kościołem.“ M. Stenzla: „Znużona,“ Portrety. Z. Andrychewicza: „Martwa natura.“ Anny Bilińskiej: „Cyganka,“ Portret damy, Głowa kobiety, „Żebrak.“ F. Wastkowskiego: „W lesie,“ „Cholewianka pod Kazimierzem,“ „Droga do wsi.“ W. Szymanowskiego: „Wspomnienie maskarady.“ K. Górnickiego: „Góra Maryi nad Niemnem.“ St. Heymana: Portrety. Al. Świeszewskiego: „Jezioro Aronzo.“ A. Taljańskiego: „Jeszcze jest.“ M. Dulębianki: „Zasmucona.“ J. Kausika: Głowa kobiety. W. Łosia: „Z polowania.“ A. Kędzierskiego: „Pastuszek.“ E. Dukszyńskiej: „Zarada.“ Bujakiewicza: „Powrót z targu.“ M. Bardzkiej: Dwie głowy męzkie. W. Gersona: „Szlachcianka z XV wieku.“ J. Eismonda: „Na dniówkę.“ F. Pszorna: „Przed zachodem.“ St. Lentza: „Medytacye.“ J. Zubera: „Mały filozof.“ E. Perlego: Głowa kobiety. St. Grocholskiego: „Przerwana modlitwa.“ Jana Rosena: „Przegląd wojska w r. 1823.“ Rzeźby: L. Syrewicza: Portret. A. Madejskiego: „Strzelec tatrzański.“ L. Mularskiego: „Lirnik.“ Jana Kryńskiego: Portret.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem dopełnił 3-go wyboru dzieł sztuki do zakupu dla rozlosowania pomiędzy członków Towarzystwa w końcu r. b. Jakoż wybrane zostały obrazy: Anny Bilińskiej: Główka kobieca. Pourville: „Cyganka.“ Tabiańskiego: „Jeszcze jest.“ Fel. Cichockiego: „Kwiaciarka.“ Niemczykiewicza: „Na wiosnę.“ Wastkowskiego: „Do wsi.“ Wł. Łosia: „Wieczorem.“ Chełmońskiego: „Spah i szaser.“ Ryszkiewicza: „Wróżka.“ Dulębianki: „Zasmucona.“ J. Stradowskiego: „Krówki.“ Grocholskiego: „Przerwana modlitwa.“ Rzeźba Woydygi „Rybak.“ Ogółem wybrano 15 dzieł za sumę rs. 2,150. Łącznie z dwoma poprzednimi zakupami nabyto dzieł 52 za rs. 8,635. Czwarty i ostatni zakup w r. b. będzie miał miejsce w drugiej dolowie grudnia.

Wyszedł z druku kurs niższy podręcznika: **Najlepsza Metoda do nauczenia się języka niemieckiego w 3-ch miesiącach bez nauczyciela**, przez P. v. Reussnera, IV edycya, ulepszona i znacznie powiększona.

Nowa edycya dzieła powyższego różni się od poprzedniej edycyi powiększeniem o 3 arkusze bez podwyższenia ceny, wprowadzeniem w użycie pisma niemieckiego od 61 ćwiczenia aż do końca i dodaniem do poprzednich 20 anegdotek 26 większych powiastek niemieckich, tłomaczonych dosłownie. Podręcznik ten jest łatwy i przystępny dla dzieci i dla osób dorosłych, niemających jeszcze pojęcia o języku niemieckim.

MAKS SCHIPPEL

Nędza dzisiejsza i dzisiejsze przeludnienie.

Tłomaczenie z ostatniego wydania niemieckiego, wyszło z druku i jest do nabycia we wszystkich księgarniach. Warszawa, 1886 r. **Cena kop. 90.**

Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. 1—3

Wielu nowych abonentów naszych wyraziło chęć posiadania poprzednich bezpłatnych dodatków *Prawdy* a niemożność nabycia ich po dotychczasowej cenie. Ulegając temu życzeniu, dla nowych (od 1 października) abonentów, *którzy co najmniej opłacą prenumeratę półroczną*, zniżamy cenę wszystkich dodatków *o połowę*, tak, że one kosztować będą:

Pypin: *Kwestya polska* (kilkanaście tylko egzemplarzy) kop. 50 (zam. rs. 1).

J. Brandes: *Główne prądy literatury XIX w.* rs. 3 (zamiast rs. 6).

Ekonomia polityczna rs. 1 kop. 50 (zam. rs. 3).

Liard: *Logika* kop. 50 (zamiast rs. 1).

Espinas: *Społeczeństwa zwierzęce* (zeszyt I) kop. 25 (zamiast 50).

Zniżenie zatem ogólne wynosi rs. 5 k. 75.

Uwaga. Na koszta przesyłki pocztowej dołączyć należy kop. 15 do każdego rubla. Naturalnie, dla nieabonentów *Prawdy* cena owych dzieł pozostaje dawniejszą.

Nakładem Prawdy

wydana została i jest do nabycia książka p. t.:

MĘCZENNICY MYŚLI.

Cena rs. 1. (wraz z przesyłką pocztową).

Departament Handlu i przemysłu St. Petersburg Nr. 1360.

Telegramy: Ritter Warszawa.

Broszurka bezpłatna — Gwarancya długoletnia

„EXSICCATOR“

Zabezpiecza **wszystko co z drzewa od gnicia**, niszczy grzybek drzewny, osusza wilgoć w starych domach i zabezpiecza nowe. **Dezinfekuje.** Zastępuje olejną farbę we wszelkich kolorach i tańszy od tejże o 50%

Inżynier RITTER, Warszawa, Królewska Nr. 39.

Poszukuję agentów.

Telegramy: Ritter Warszawa.

Na początku roku przyszłego wyjdzie nakładem naszym w tłomaczeniu polskiem epokowe dzieło amerykańskiego badacza Morgana (z objaśnieniami Marxa i Engelsa), którego olbrzymią wartość wykazywaliśmy szczegółowo w jednym z artykułów *Prawdy* — p. t.:

SPOŁECZEŃSTWO PIERWOTNE

czyli badanie postępu ludzkości od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi.

Dzieło to, które dało nową podstawę badaniom naukowym, mające przeszło 40 arkuszy druku, w drodze prenumeraty kosztować będzie tylko rs. 3., z przesyłką rs. 3 k. 30. Po wyjściu książki cena jej zostanie znacznie podwyższoną.

Przy Administracyi *Prawdy*, która od tygodnia mieści się w oficynie tegoż domu na pierwszem piętrze (wejście na prawo) urządzona będzie nasza

KSIĘGARNIA,

załatwiająca wszelkie zlecenia interesantów co do kupna i sprowadzania książek oraz prenumeraty pism. Abonenci *Prawdy* w Warszawie mogą przesyłać nam swoje żądania piśmiennie, a my im żądaną książkę odeślemy do domu, gdzie jej cenę zapłacą. Również z prowincyi przyjmujemy odpowiednie obstalunki.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 17 Октября 1886 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.